

K S Rutkowski

Kryminał tango

WSTĘP

I co tam, młody, znowu bazgrzesz w tym swoim kajeciku?
Że też chce ci się ruszać ręką tyle czasu. Przyjemniej byś lepiej
wykorzystywał
tę energię. Jak? Jak? Jak? Siak. A
zwalilibyś konia. Pisarzem chcesz zostać czy jaki chuj?
O czym tu pisać? Pudło, jak pudło. Beton i kraty. My i klawisze. I
ciągła nuda.
I tylko czasami jakieś historie. Ale
nawet jak je napiszesz, to kto w nie uwierzy? Kto z porządnych
obywateli
uwierzy, że w przeddzień XXI wieku, w
cywilizowanym kraju, za pewnym murem, odbywają się takie harce?
Nikt, kurwa,
przy zdrowych zmysłach. Lepiej
więc odłóż pisak i wypierdol ten kajet.
Najlepiej nie odsłaniać tutejszych tajemnic.
Dołek
darkowi dudczakowi
Budzisz się z chwilą, gdy przekroczysz jego próg. Trzask drzwi,
zgrzyt zamka za
plecami i to, co przed tobą:
półmrok i deski. I oddalające się kroki na korytarzu za ścianą.
Dopiero wtedy
dociera do ciebie, gdzie jesteś i że to
wcale nie jest złym snem. Rozglądając się, nerwowo się uśmiechasz.
Jeśli masz
szczęście, ktoś już tam jest, leży
albo siedzi, albo stoi na drewnianym, szerokim podeście, który
przez
kilkadziesiąt godzin będzie twoim krzesłem i
łóżkiem, z głową zwróconą w zakratowane okno, przez które, jak sam
się później
przekonasz, prawie nic nie widać.
Jedynie kawałek nieba i coś jeszcze, jeżeli masz szczęście:
fragment jakiegoś
budynku, drzewa ... Okno jest wysoko
i zwykle nie widzi się nic więcej. Żadnej ulicy, ludzi,
samochodów. Jeśli masz
szczęście i areszt nie znajduje się na
jakimś zadupiu, życie miasta dociera do ciebie poprzez uszy.
Chłoniesz je
jedynie znajdującym się w nich zmysłem.
Przez kilkadziesiąt godzin będzie stanowił twój jedyny kontakt ze
światem
zewnętrznym.

Naprawdę dobrze, jeśli ktoś już tam jest. Przywitanie trwa krótko, uścisk dłoni, wymiana imion, ewentualnie ksywek, jeśli się już jakiegś dorobiłeś. Nazwiska nie są ważne. Niektórzy z tych, co tam trafiają przedstawiają się paragrafem. Każdy obstukany w temacie od razu wie z kim ma do czynienia. Wtedy nie potrzebne są pytania. Numer paragrafu mówi ci wszystko, co powinieneś wiedzieć o swoim towarzyszku. Jeśli jesteś zielony, a ktoś, kto już tam jest, jest starym wyjadaczem, w ciągu kwadransa wprowadza cię w nową rzeczywistość. Oznajmia ci pory posiłków i godziny zmian strażników i robi ci mały wykład o celi, w której będziesz musiał spędzić trochę czasu. Pokazuje ci skrytki (zwykle jakieś są, najczęściej pod deskami w podłodze) i miejsce, w którym będziesz mógł się odlać, bez obawy, że zalejesz podłogę, kiedy jakiś wredny strażnik nie będzie chciał cię wypuścić do kibla. Zwykle, gdy naprawdę przyciśnie, leje się na zakratowany kaloryfer, znajdujący się w głębokiej wnęce w ścianie. Szczyny gromadzą się w niecce pod nim i nie wypływają. Jeśli akurat kotłownia grzeje, po jakimś czasie w celi zaczyna śmierdzieć jak w zapuszczonym miejskim szalecie. Ale wkrótce przestajesz ten smród czuć... Przyzwyczajasz się do niego. Zresztą zapach, który wita cię w celi, gdy do niej trafiasz, jest zupełnie taki sam. Tylko bardziej stęchły. Wiedz, że przed tobą w to samo miejsce lało wielu. Większość strażników ma leniwe dupy i nie chce im się przychodzić na twoje wezwania. Są dwa kaloryfery. Po jednym z każdej strony drzwi. Najlepiej lać na ten przy drewnianej ławie pod ścianą. Ten drugi znajduje się przy podeście, na którym będziesz spał. Jeśli na niego naszczysz, będzie ci śmierdzieć pod samym nosem. W tym miejscu najważniejsze są papierosy. Pragniesz ich nawet jeśli nie palisz. Jedynie one uspokajają i pozwalają w miarę jasno myśleć. Jeśli w chwili zatrzymania masz fajki, trafiają z tobą do

celi. Co najwyżej profos wysypie ci
je z paczki i sprawdzi, czy niczego w nich nie ukrywasz. Zapałki i
zapalniczkę
też pozwalają ci wziąć... To
najczęściej jedyny ludzki gest z ich strony. Jeśli jednak w chwili
aresztowania
nie masz fajek, a w celi oprócz
zapisanych, odrapanych ścian, nikt cię nie wita, pozostaje ci
jeszcze przeszukać
celę. Od strażnika papierosa nie
dostaniesz, zaśmieje ci się w twarz jeśli go o niego poprosisz.
Pozostaje więc
cela... Jest wiele miejsc do
przeszukania. Wszystkie zakratowane elementy celi, to jest okna,
kaloryfery i
światlik nad drzwiami, w którym
nieustannie jarzy się małowatowa żarówka oraz poluzowane deski w
podłodze...
Jeśli będziesz miał szczęście,
znajdziesz w którymś z tych miejsc fajkę, ewentualnie kilka
niedopalonych petów,
a nawet kawałek draski i
pojedyncze zapałki. Starzy więźniowie czasami chowają w nich coś z
tych rzeczy
dla następnych, którzy trafiają tu
po nich. W popielniczce, która zwykle jest na ławie, nie ma co
grzebać. Zwykle
leżą w niej pety wypalone aż po
ustnik.
Popielniczka spełnia też inną rolę. Gromadzi materiał
wykorzystywany do
więziennego grafiti. Petami świetnie
pisze się po ścianach. Zresztą odczytywanie napisów z nich przez
kilka godzin
będzie stanowić twoją rozrywkę. Jest
ich na ścianach bez liku, a niektóre z nich są nawet całkiem
zabawne...
Jeśli masz szczęście, jesteś tam z kimś albo nawet z kilkoma
osobami. Rozmowy są
wybawieniem od myślenia. A
myśli dopadają cię w każdej chwili ciszy, natarczywe i okrutne i
całkowicie
burzą twój spokój. Staraj się więc gadać
jak najwięcej. Nie ma sensu analizowanie tego, co zrobiłeś i za co
tu trafiłeś,
ani okazywać skruchy przed samym
sobą. To w niczym ci nie pomoże, jedynie pognębi jeszcze bardziej.
Nawet jeśli
będziesz bez przerwy płakał i
przepraszał, nikt cię stamtąd nie wypuści. Wzbudzisz tylko
szydlerczy śmiech u

wszystkich. A wiedz, że śmiech ten
pójdzie za tobą dalej, jeśli zrobiłeś coś poważnego i dołek jest
tylko twoim
pierwszym etapem na więziennej drodze.
A dalej dla miękkih facetów jest już tylko droga przez mękę...
Aha... To już na koniec... Jeśli zależy ci na żołądku, przez te
czterdzieści
osiem godzin, które mogą cię tam trzymać,
żarcia lepiej nie ruszaj. Sraczka po nim murowana. A klawisz, jak
to klawisz, na
twój dzwonek raz przyjdzie, raz
nie. Zależnie jaki akurat ma humor.

NOC W ARESZCIE

Przywieźli ją późnym wieczorem w niedzielę. Jej histeryczny płacz
postawił na
nogi chyba wszystkich. Dyżurujący
strażnik wydarł się na nią, a policjantki, które ją eskortowały,
zawtórowały
mu. Płacz kobiety wzmógł się. Jeszcze
przez chwilę próbowali ją uciszyć słowami, potem w ruch poszły
gumy. Siedziałem
trzy cele od nich i wyraźnie
słyszałem głucho uderzenia. Raz, dwa, trzy... Kobieta nawet nie
pisnęła. Ale
uciszyła się momentalnie.
Po przyjęciu wprowadzili ją do celi, czwartej z kolei, zaraz obok
mojej. Musiała
być półprzytomna, profos
wprowadził ją do celi razem z policjantką, musieli więc ją
podtrzymywać.

- Nachlana - skomentował szeptem chłopak, który ze mną siedział.
Odszedł od
drzwi i wrócił na deski. Gdy w celi
obok trzasnęły drzwi i ciężkie buty klawisz przemierzyły korytarz,
a głosy
policjantek ucichły na schodach w dół
prowadzących do wyjścia z aresztu i ja wróciłem na łóżko, które
bardziej
przypominało taneczny, podwyższony
parkiet w wiejskiej tancbudzie, niż cokolwiek na czym można by
było zmrużyć oko.

Ale było to "łóżko", niezwykle,
pięciosobowe. Pięciu rosłych mężczyzn mogło rozłożyć na nim swoje
zaszczane,
nigdy nie czyszczone materace,
pożółkłe poduszki i nigdy nie prane koce i spędzić noc, leżąc
jeden obok
drugiego. Na szczęście było nas tam tylko
dwóch.

Ten pierwszy raz przymknęli mnie za pobicie. Miałem osiemnaście
lat i byłem

pijany. Nie za bardzo , ale na tyle,
żeby hamulce, które zwykle miałem, puściły mi całkowicie. Efektem
tego było
dwóch porozbijanych facetów. Jeden
z nich dostał zasłużenie, a drugi miał pecha , bo stanął w obronie
tamtego. I
choć w gębę dostał tylko raz, smrodził
najwięcej. Był jakimś muzykiem, grał chyba na flecie i twierdził,
ze mój cis, po
którym wypadł mu ząb, pozbawił
go najbliższego koncertu.
Na dołek trafił ze mną kumpel. Całkowicie niewinny. Facet , który
dostał ode
mnie w micę, ten przypadkowy,
zeznał , że obaj groziliśmy mu śmiercią, gdy chciał z pobliskiego
baru zadzwonić
po gliny. I że w mojej ręce widział
nóż. Skurwysyn... Nie było żadnego noża, a mój kumpel jedynie
przepraszał go za
mnie , prosząc, żeby nie dzwonił
po policję, że załatwimy to inaczej. Facet, wtedy w barze,
odpuścił. Ale później
,szmaciarz, zadzwonił po policję ,
bo zgarnęli mnie i moich dwóch kolegów jakieś kilkaset metrów
dalej, wprost z
ulicy. Jednego puścili po wstępnym
przesłuchaniu. Drugiego, tego który próbował grajka ułagodzić, po
jakiejś
godzinie też wpieprzono do klatki, w
której siedziałem na komisariacie... Wsadzono go tam za całkowitą
niewinność...
No cóż... Wiarę zawsze daje się
ofierze.
Gość który siedział ze mną w celi nie zapłacił grzywny. Miał ksywę
Puła.
Wcześniej odsiedział sporo z paragrafu,
który i mnie próbowano przyklepać. Pocieszał mnie, że taki
wpierdol, który
spuściłem tym dwóm, to żaden
wpierdol i że dużo mi za to nie zrobią. Co najwyżej grzywna i
dozór policyjny...
A w najgorszym razie wyrok w
zawiasach. Powiedział, że jak wprowadzono na konfrontacje faceta,
którego
przerobił, w pierwszej chwili pomyślał,
że widzi nieboszczyka. Delikwent był napuchnięty, siny i
całkowicie niepodobny
do człowieka. Jakby co najmniej
nie żył już od miesiąca. Dali mu za niego rok. Ale on omal go nie
zabił.

Noc, kiedy przywieźli tę kobietę, była drugą z kolei. Żadnej nie spałem prawie w ogóle. Nie dlatego, że nie chciało mi się, czułem zmęczenie i to jeszcze jak, twarde dechy nie pozwalały jednak zmrużyć oka. Moje ciało nawykłe do wygodnych, miękkich łóżek, buntowało się ,gdy rozkładałem je na drewnie. Materac , który mi dali, był cienki jak poszewka. Dwa koce złożone razem, były grubsze od niego. Kobieta ponownie zaczęła płakać po jakichś trzech , czterech godzinach od przyjęcia. Najpierw doszedł nas jej cichy szloch, który powoli zaczął się nasilać, aż w końcu wybuchł kanonada wielkiej, historycznej rozpaczki.

- Przetrzeźwiała i zobaczyła kraty - skomentował to mój współwięzień - Pewnie nigdy wcześniej nie była w takim miejscu. Baby zawsze dostają tu hysterii. Jej zawrodo pobudziło wszystkich (jeśli oczywiście ktoś akurat spał) a na pewno wszystkich niemiłosiernie wkurwiło. Było rozpaczliwe, żałosne, tak bardzo kobiece.... Serce kroiło się, gdy się je słyszało. Pogarszało to jeszcze bardziej i tak zjebany już nastrój każdego z osadzonych.

- Profos! - wydarł się ktoś z głębi korytarza - Profos! Zamknij w końcu tej kurwie mordę!

- Zaraz zamknę ją tobie! - odkrzyknął strażnik.

- Choć tu i naskocz mi na kutasa. Apartament 12. Przyjdź to sobie zatańczymy.

Płacz kobiety przeszedł w niemiłosierne wycie. Takie, że aż ciarki przeszły po skórze.

W końcu i strażnik chyba nie mógł tego wytrzymać. Usłyszałem jego kroki, podzwanianie kluczy, po chwili drzwi do celi obok otworzyły się.

- Przestań już kobieto! - profos wydarł się na nią.

Ale ona nie przestała. W ruch poszła więc guma. Znowu raz, dwa, trzy, mocne , miarowe, wyraźne... Kobieta po tych razach przestała głośno płakać. Wciąż jednak szlochała. Po chwili już tylko kwiliła... Jednak klawiszowska guma znów wylądowała na niej. Jedno wyraźne, głuche pacnięcie. Jakby ktoś muchę rozjebał na ścianie.

- No i co...? Ulżyło ci skurwysynu?! - krzyknął Puła.

- To morderczyni. Zabiła kobietę - odpowiedział strażnik.
- Twoją matkę?!
- Nie. Jakaś lekarkę.
- No to się chuju od niej odpierdol!
Przez chwilę z niewyraźną miną czekałem na reakcję strażnika. Na zgrzyt zamka, otworzenie celi... Puła patrząc na mnie pokręcił głową.
- Żaden z nich nie wejdzie do celi w pojedynkę, zwłaszcza gdy siedzą w niej faceci. Są mocni tylko w gębie i do kobiet - powiedział i odwrócił się na drugi bok. Dopiero po jakimś czasie kwilenie kobiety całkowicie ucichło. W całym areszcie znów zapadł nocny spokój. Cisza zaległa wszystkie cele. Powróciły pytania, możliwe odpowiedzi, wyrzuty sumienia...
- Niepotrzebnie otwierałem mordę. Łać mi się chce. A teraz ten klawisz nie wypuści do kibla żadnego z nas - odezwał się jeszcze z półmroku Puła. Po chwili wstał z desek i odlał się w kacie.
KRYMINAŁ TANGO

Fama o nim przeszła przez oddział na kilka dni przed jego przybyciem. Postarali się o to klawisze. Każdy z więźniów mógł się dowiedzieć, z kim to niedługo będzie mieć do czynienia, klawisze sugerowali nawet nasze w stosunku do niego zachowanie. Od razu go, chłopaki, do parkietu-mówili-bo jak zacznie fikać, to nie tylko on, ale i wy będziecie mieli przejebane. Tak, panie taki a siaki, zrobi się- zwykle się odpowiadało-potakując ze zrozumieniem głową, taki gigant to pod celą nie jest nam potrzebny. Gdy odchodzili, pluliśmy za ich plecami. I z utęsknieniem oczekiwaliśmy faceta. Bo to był ktoś. Kukułcze jajo, które naczelnicy więzień podrzucali sobie pod byle jakim pretekstem. Bo mieć tego faceta w swoim zakładzie oznaczało dla nich nieustające kłopoty. A dla nas więźniów ciągnął rozrywkę. Tak nam się, w każdym razie, na samym początku, wydawało.
Trafił do naszej celi. Średniego wzrostu, szczupły, z banalną twarzą. Nie wyglądał na wielkoformatowego

przeGINACZA, którego ksywkę klawisze cedzili przez zęby. Raczej na kogoś o spokojnym usposobieniu, kto nawet muchy nie pierdolnąłby packą. Na kogoś, kto co niedziela do kościoła, z żoną pod rękę i gromadką dzieciaków ciągnących za nimi sznureczkiem. Świętość spojierała mu z oczu. Niewinność. Nie mówiąc o łagodności, której ślepia jego były pełne. Wyglądał jak nowicjusz, na którego nigdy jeszcze nie padł cień krat. Aż trudno było uwierzyć, że facet miał już odgibanego dziesiątaka, z dwunastki, którą dostał za morderstwo. Przywitaliśmy go z pompą. Czaj, lepsze żarło z paczkowych dostaw, markowe szlugi. Facet nic nie powiedział, ale na jego gębie było widać, że docenia nasz gest. Przez pierwsze dni klawisze zaglądali przez naszego judasza częściej niż zwykle. Jakby na coś czekali. Ich ślepia na długie sekundy zamierały w wizjerze, lustrując wnikliwie naszą celę. Szukali choćby cienia inności, choćby najdrobniejszej zmiany jej stałej kompozycji, jakiegoś najlichszego sygnału świadczącego o nadchodzącym zagrożeniu. Jednak za każdym razem ich spojrzenia witał spokój, niczym nie różniący się od spokoju każdego innego dnia. Za każdym razem na odgłos odsłanianego judasza, jak na komendę zamykały nam się mordy i cele zalegała grobowa cisza, która kończyła się, gdy klapka na powrót przysłaniała wizjer. Normalka. Czas w naszej celi płynął wciąż tym samym leniwym rytmem. Tylko teraz pięć głów odwracało się na odgłos życia po drugiej stronie drzwi. Bo tylko liczebność więźniów była jedyną zmianą, jaka u nas zaszła. Po tygodniu nadmiernej nerwowej czujności klawisze powoli zaczęli stawać się spokojniejsi. Cisza w naszej celi przygłaskała ich obawy. Uchodziliśmy za spokojnych więźniów. Wszyscy nałogowo czytaliśmy książki, jeden koleś nieźle rysował, a ja z powodzeniem brałem udział w literackich konkursach. Myślę, że właśnie dlatego

wsadzili do nas nowego. Może
wierzyli, że jakimś cudem nasza zbiorowa twórcza łagodność
podziała leczniczo na
jego wrodzoną agresywność. Że
może w końcu, po latach tułaczki po zakładach karnych, specyfika
naszej celi
pomoże mu odnaleźć spokój i
wewnętrzną harmonię i w pełni odmieni jego życie, czyniąc z niego
innego,
lepszego człowieka. Może tak sobie
myśleli, a może nie. W każdym razie ich nadmierne zainteresowanie
nasza celą
szybko przygasło. A w końcu
dopaliło się zupełnie. Powróciła rutyna w wykonywane przez nich
obowiązki.
Zresztą napięcie i podekscytowanie
przybyciem nowego opadło i w nas. Obserwując przez te parę dni
jego spokój i
opanowanie i my zaczęliśmy
wierzyć w jego nagłą przemianę. Nie był to ten ostry człowiek z
opowieści,
krażących przed jego przybyciem po
więzieniu. Był raczej jak ksiądz bez sutanny, w domowych
pieleszach.
Jednak jego wygląd mylił. Kunsztowna fasada pozorów runęła pewnej
nocy. Obudził
mnie ciepły dotyk w głowę.
To co we śnie było cieniutką strużką wina, które wylewała na mnie
młoda, ładna,
dorodna kobieta, na jawie okazało
się skapującą z góry krwią. Nade mną stał nowy z tłącym się
papierosem w ustach.
-Nie śpisz młody? -doszło mnie jego ciche, głupie pytanie.
-Już nie-odparłem, unosząc się na łokciach, tym samym pozwalając
krwi nowego
rozplynać się po całej mojej gębie.
Ujrzałem jej źródło. Skapywała z przegubów jego obu dłoni.
-I tak właśnie miałem cię budzić. Rób raban. Czas, żeby mnie
powieźli do
szpitala na jebanym sygnale-powiedział,
zaciągając się głęboko papierosem.
-No młody, szybko, szybko-ponaglił mnie, gdy się nie ruszyłem. -
Krew wycieka ze
mnie już od dobrych paru minut.
Wstałem więc z koja i zacząłem łomotać w klapę. Silnie, miarowo.
Po chwili
dołączyły do mnie głosy
rozbudzonych kumpli, wrzeszczące: Człowiek umiera! Człowiek
umiera! A po chwili
raban ogarnął już cały

oddział. Mimo ogólnego harmidru klawisze od razu przybiegli do naszej celi. Nowy pozwolił im się wziąć bez walki, choć słyszał z tego, że toczył z klawiszami zacięte boje, gdy ci chcieli ratować mu życie. Tym razem był już chyba jednak za słaby na szamotaninę z nimi. Następnego dnia klawisze przetrzepali nam celę. Kipisz był bardzo szczegółowy i trwał dobre pół godziny. Zabrali wszystko, co było w niej nielegalne, nawet to, na co zwykle przymykali oko. Zabrali nawet zrobioną z mojek i kabelków grzałkę do parzenia czaju. Była ukryta w podłodze w skrytce wydrążonej w betonie. Po tym numerze pełnym krwi, której smak czuję w ustach do dzisiaj, zrozumieliśmy to, przed czym ostrzegali nas klawisze. Ten nagły kipisz kabaryny nie był przypadkowy. Był karą za to, że nie potrafiliśmy nowego utemperować. Za to, że pozwoliliśmy mu jednak rozwinąć skrzydła. Tego dnia, gdy strażnicy przewracali nam celę do góry nogami, zrozumieliśmy, że odtąd wszyscy będziemy ponosić przykre konsekwencje wszelkich jego wybryków. To co miało sprawiać nam rozrywkę, tak naprawdę miało stać się naszym przekleństwem. Po tym pierwszym przegięciu zrozumieliśmy też prawdziwy sens pseudonimu nowego, którego dotychczas nie używaliśmy, a który dopiero wtedy nabrał w naszych uszach właściwej treści. To nie było już tylko słowo za nic nie pasujące do jego łagodnego oblicza. Tak, ksywka Psychol pasowała do niego jak ulał. Idealnie wyrażała jego osobowość ukrytą za pozorami, w których czynieniu był mistrzem. Ze szpitala wrócił po trzech dniach. Z uśmiechem na twarzy. Z obandażowanymi rękami. Nic nie powiedział. Rzucił się tylko na swoje kojo. My również milczeliśmy. Bo o czym mieliśmy gadać. Wszystko już było wiadomo. Na drugi numer Psychola nie czekaliśmy długo. Którejś nocy znów dziki wrzask z naszej celi rozproszył ciszę. Tym razem nie ja wszcząłem raban. Ten zaszczyt przypadł komuś innemu. Gdy otworzyłem

oczy, zapalono już na
oddziale światło, w pełni więc mogłem docenić klasę tego
przegięcia. A było na
co popatrzeć. Zachlapane niuchą
ściany wyglądały jak jakieś awangardowe dzieło sztuki, całe w
kropki i plamy i
czerwone odciski dłoni.
Nacętkowana plamami krwi była również pościel na kojach i
wszystkie sprzęty,
które znajdowały się w celi.
Psychol siedział na swym koju, oparty plecami o ścianę, trzymając
się rękoma za
brzuch. Jego dłonie lepiły się od
krwi przepływającej mu przez palce. Coś mu przez nie
prześwitywało. Ale dopiero
po chwili dostrzegłem co. Były
to jego oślizgłe flaki, lśniące w świetle. Parujące, pachnące
ostro wnętrzości,
które próbował zatrzymać w sobie.
Całą czwórką stanęliśmy wokół koja Psychola, chłonąc oczami ten
widok, który
nieczęsto oglądać się zdarzało.
Chlastanie się mojka po brzuchu należało do najbardziej
ryzykownych przegięć, na
które decydowali się tylko
nieliczni. Przeważnie tacy, którym już wszystko koło chuja latało.
Skazani na
dożywocie lub na kosmiczne,
dwucyfrowe wyroki. Na pewno nie tacy, którym pozostało do
odsiedzenia jeszcze
dwa lata. Chyba że chorzy
psychicznie. Widać Psychol miał o wiele bardziej zepsuta głowę.
Bardziej niż się
każdemu wydawało. Z tego co
słyszałem, próbowano go kiedyś po jakimś większym przegięciu
umieścić w
wariatkowie, ale biegli psychiatrzy
jakoś nie mogli się doszukać w tym jego cabanie anomalii. Pozory
normalności,
jakie czynił, musiały więc być
naprawdę najwyższego lotu.
Klawisze wpadli do celi w pełni przygotowani. Nawet dyżurujący
więzienny
łapiduch, mimo późnej nocy, przybiegł
w swoim rzeźnickim kitlu. Nim wyjebali nas z celi na korytarz,
zobaczyłem jak z
uśmiechem na ustach puszcza
Psychol swój bebech, pozwalając jelitom wylać się na zewnątrz. I
usłyszałem
przekleństwa gadów i zobaczyłem

jeszcze lekarza, który ręką próbował wsadzić mu te flaki z powrotem do środka.
Po tej nocnej imprezie administracja znowu nas ukarała. Już z samego rana rozpoczęły się represje. Dobrali się nam do dupy, jakby to wszystko było naszą winą. Zaczęli od kipiszu, który jednak nie zdał się na wiele, bo przez te kilka dni od ostatniego niewiele zdołaliśmy skojarzyć nielegalnych rzeczy. Dobrali się też do michy, zabierając nam na dwa tygodnie drugie danie. I do spacerów, do pół godziny na dobę ograniczając nam dreptania. Ale nie to było najdotkliwsze. Kumpłowi, który rysował, zabrali na czas nieokreślony blok i ołówek, mnie cały zapas papieru i przybory do pisania. To całkowicie rozłożyło nas na łopatki. Psychol powrócił po miesiącu, chociaż wyglądało na to, że tego przegięcia nie przeżyje. Gdy go zabierali z celi, wyglądał naprawdę źle. Jak stuprocentowy kandydat na trupa. Jednak jakimś cudem wyszedł z tego. I znowu wkniąjał pod celę z rozradowaną facjata. O dobrych piętnaście kilo chudszy, blady jak ściana, ale szczęśliwy. Wyglądał jak bardzo zły uczeń, któremu mimo wszystko udało się ukończyć szkołę. Kilka dni po jego tryumfalnym powrocie ze szpitala wezwał mnie Naczelnik. Mimo że byłem najmłodszy, pełniłem funkcję starszego celi. Kumple wrobili mnie w to niewdzięczne zajęcie. Naczelnik był gościem do rzeczy, miałem już z nim kilkakrotnie do czynienia. Do każdego z dobrym słowem i uśmiechem. Nawet do cweli przemawiał jak do ludzi, mimo że nawet klawisze traktowali ich jak zwierzęta.
-Siadaj Rutkowski, pogadamy-od razu do mnie, gdy tylko przekroczyłem próg jego gabinetu. Bez nazwiska, numeru, wszystkich tych formalności.
-Wiesz po co cię wezwałem?- zapytał.-Nie wiem, panie Naczelniku- odparłem, chociaż domyślałem się dlaczego.
-Powodem jest Zawada-rzekł i słowa te zwisły na długą chwilę nad naszymi głowami. Zawada to było nazwisko Psychola. Pokiwałem ze zrozumieniem głową.

-Trzeba nauczyć go dobrego wychowania, Rutkowski. Wszyscy mamy przez niego kłopoty. Musicie przemówić mu do rozumu. Bo inaczej do końca jego odsiadki będziecie ponosić kary za jego numery.

-Nie da rady, panie Naczelniku. Psychol to twardy gość. Morderca. Boimy się go.

Nigdy nie wiadomo co takiemu przyjdzie do głowy-powiedziałem zgodnie z prawdą.

-A wy to kto niby jesteście?-on do mnie.-Ułomki?-To naprawdę duży twardziel. Sam

pan wie, co on wyprawia. Nie szanuje życia. Balansuje na samej krawędzi. Nawet porządny wpierdol nic tu nie da.

-Nie wierzę, że takie chłopaki jak wy nie potrafią poradzić sobie z jednym

mizernym typkiem. W końcu tu również i o wasze dobro chodzi. Cierpicie przez niego. Spotykają was niesłuszne kary. Nie

wierzę, że nie możecie dać mu

rady. Przecież-przybliżył się do mnie ponad biurkiem, a jego głos przeszedł w

konfidencyjony szept-Przecież

oprócz grózb i łomotów istnieją też inne s p o s o b y...

-Jakie, panie Naczelniku-przypaliłem głupa. Uśmiechnął się tajemniczo.

-Wy już dobrze wiecie, jakie. Rozumiemy się Rutkowski?-

-Owszem, panie Naczelniku-odparłem cicho po chwili i z pochyloną głową opuściłem

jego gabinet. Godzinę później

szeptem zrelacjonowałem chłopakom moją z nim pogawędkę, korzystając z tego, że

Psychol uderzył w kimę. Bo on

po tym ostatnim przegięciu dużo sypiał. Widać jego organizm po szpitalu

potrzebował jeszcze odpoczynku.

Chłopaki wysłuchali mnie w spokoju. Dyskusja trwała krótko.

Decyzja zapadła

jednogłośnie. Bezlitosna i

drastyczna. Ogólną zgodę przypieczętowaliśmy skinieniami głowy.

Teraz trzeba

było tylko poczekać na sprzyjającą

okoliczność.

A taka niesztybko nadeszła. Po tym swoim wielkoformatowym numerze Psychol spuścił

z tonu. Wyciszył się

całkowicie. Powrócił do stanu wyjściowego, to znaczy odgrywania świętoszka.

Niewinność patrzyła mu z oczu, jak

jakiemuś małemu dziecku oskarżonemu o zjedzenie kremu z weselnego tortu.

Całkowita metamorfoza. W jego ślepiach nie było już ani krzty szaleństwa, które w pełni lśniło w nich po każdym pochlastaniu mojką. Znowu wyglądał jak ktoś niewinnie skazany, płaczący za wolnością po kątach. Jak nędza i rozpacz godna najgorszego frajera.

Od drugiego przegięcia Psychola kipisz mieliśmy średnio dwa razy w tygodniu.

Gady rutynowo już robiły nam bałagan w celi, chociaż dobrze wiedzieli, że już i tak niczego zabronionego nie znajdują. Robili tylko niezły bajzel, który potem trzeba było sprzątać. Z obiadów zdjęli nam karę, ale spacer

mieliśmy w dalszym ciągu okrojone.

Również swojej twórczości dalej nie mogliśmy uprawiać. Tycim kawałkiem ołówka,

który udało mi się zakitrować,

co prawda zapisywałem krótkie teksty na marginesach kartek w książkach, których

na szczęście za karę mi nie

zabrali, ale w żaden sposób nie mogłem zaspokoić tym swoich pisarskich potrzeb.

I kontrolowali nas też znacznie

częściej. Średnio trzy razy na godzinę podnosiło się w klapie wieczko judasza.

Kilka razy nawet mieliśmy

niezapowiedziane wizyty Naczelnika. Powodem oficjalnym były rutynowe kontrole.

Ale ja wiedziałem, co się

naprawdę za tym kryło. Upewniało mnie w tym pytające spojrzenie Naczelnika,

którym za każdym razem, na długie

chwile obdarzał mnie podczas tych wizyt.

W końcu ku naszej niemej radości, Psychol zaczął stawać się niespokojny.

Wydobrzał na tyle, że nie było już widać

niedawnego bliskiego spotkania z kostuchą. Czuło się, że już długo nie wytrzyma.

Że już jakiś kolejny większy

numer chodził mu po głowie.

Jego szaleństwo ponownie objawiło się pewnego wieczora. Tym razem jednak nie

znienacka, jak w dwóch

poprzednich razach, ale z kilkugodzinnym wyprzedzeniem. Gdy

jeszcze paliło się

światło, rozpoczął przygotowania

do nocnego występu. Jak nigdy. Zaczął robić to na naszych oczach.
Pociął
prześcieradło na małe paski i uplótł z
nich postronek. Solidny. W sam raz, żeby na nim zadyndać.-Dziś w
nocy te
pierdolone gady nie będą drzemać w
fotelach-powiedział tylko do nas, widząc nasze pytające miny. I
tyle nam
wystarczyło. My również rozpoczęliśmy
przygotowania do nocy.
Na pół godziny przed zgaszeniem świateł Psychol wprowadził nas w
swój plan. Był
prosty. Psychol miał się rzucić
na sznur, a my mieliśmy, jak zwykle, zrobić raban, dbając
jednocześnie o to,
żeby Psychol rzeczywiście się na tym
sznurze nie przekręcił.
-Już to kiedyś robiłem-powiedział. -Jeśli pętla jest odpowiednio
gruba, to
zaciskając się na szyi nie dusi od razu. -
Można tak przewiesić parę minut. Człowiek sinieje i się dusi, ale
kończy się
tylko na niegroźnym uszkodzeniu
kręgosłupa. Ale to przegięcie zespołowe. Solo naprawdę wykituję.
Kilka minut po
północy przymocował postronek
do krat w oknie. Bez widocznego strachu stanął na podstawionym pod
okno stołku i
nałożył sobie stryczek na szyję.
Chwilę jeszcze powstał pośród całkowitej złowróżbnej ciszy, w
ciemności nikle
rozświetlonej blaskiem latarni,
wpadającym przez okno z więziennego dziedzińca. Potem
przytrzymując się rękami
krat odtrącił stołek i wciąż
przytrzymując się okna delikatnie opuścił się w dół, napinając ten
przymocowany
do karku prowizoryczny powróż.
W końcu jego ręce odważnie puściły się krat, lina lekko szarpnęła
i napięła
całkowicie i rozpoczęła się walka jego
organizmu o hausty powietrza. Patrzyliśmy jak szamocze się na tej
szubienicy,
młócąc powietrze rękami i nogami.
Bujał się na tym prześcieradlanym sznurze na wszystkie strony.
Poczekaliśmy
jakiś czas, ale nic się nie stało. Wciąż
żył. Choć był już pewnie najwyższy czas na raban, nic nie
robiliśmy. Milcząc
siedzieliśmy tylko nieruchomo na

swych kojach, obojętnie przypatrując się temu jego tańcowi ze śmiercią. Temu chaotycznemu kryminał tango, które miało już być jego ostatnim. Oczekaliśmy jeszcze minutę, która dłużyła się w nieskończoność, ale w dalszym ciągu śmierć nie mogła go pokonać. Szamotał się na tym sznurze, obijając się o ścianę. Urywany syk z jego ust, powodowany powietrzem z trudem przedzierającym się przez gardło, stawał się coraz cichszy. Ale w dalszym ciągu było go słychać. W końcu nie mogąc już znieść tego oczekiwania, pod wpływem jakiegoś nagłego impulsu, podszedłem do niego, złapałem go za podrygujące ramiona i całym sobą uwiesiłem się na nim. Jego bezbronnym ciałem wstrząsnął przedśmiertny skurcz. Wyraźnie go poczułem. Sekundę potem, po trzasku łamanego karku, całkowicie zastygło w nim życie. Postanowiliśmy tej nocy nie meldować o trupie. Dopiero rano do pierwszej michy. Pozostawiliśmy Psychola zwisającego z okna i położyliśmy się do łóżek. Pośród ciemności zapłonęły nerwowo papierosy. Od jutra wszystko już miało powrócić do normy.

NADZIANY FRAJER

Mówię ci, młody, nawet tu za kratami zaszły wielkie zmiany. Wszystko przez pieniądz. Tak, młody, siano nawet tutaj przewracało ludziom w głowach. Kto je ma, jest kimś. Tak jak na wolności. Nie masz go, jesteś nikim. Nawet jeśli grypsujesz. Nawet wtedy. Mówię ci, kurwa, świat przewraca się do góry nogami. Kiedyś coś takiego byłoby nie do pomyślenia. Weźmy chociażby ciebie. Jesteś przykładem tego, co już zamiera, całego naszego rytuału przyjmowania ludzi. Gdy tu trafiłeś, byłeś młody i głupi, ale niczego się nie peniałeś i miałeś charakter. Niczego nie żałowałeś i przed nikim nie obiecywałeś poprawy. Bo wiedziałeś, że nic, nawet te parę lat w zamknięciu nie zdoła wyplenić z ciebie złodziejskiego nasienia. Żadne resocjalizacyjne programy, ani te inne chuje

muje. Na gębie miałeś wypisane, że
urodziłeś się złodziejem i złodziejem zdechniesz, tak jak
przystało na
człowieka. Dlatego przyjęliśmy cię do
swojego elitarnego grona, mimo że byłeś zielony i tyle wiedziałeś
o prawdziwym
grypsowaniu, co kurwa spod
latarni o byciu zakonnica. Miałeś jednak to coś, czyniło cię
wyjątkowym i co
kwalifikowało cię do przystania do
nas. Tak, młody, właśnie charakter... Bo tylko dobry charakter
jest do nas
przepustką.
Ale tradycja powoli się zmienia. Sam charakter zaczyna już gównie
znaczyć. Teraz
już zaczyna się liczyć co innego-
pieniądz. Tak, młody, szmal. Szmal nawet tutaj, gdzie cały wikt
zapewnia
państwo, staje się podstawą bytu. Nie
wierzysz, co? Nie wierzysz? Skoro nie wierzysz, to posłuchaj...
Trafił kiedyś na oddział, piętro niżej, taki jeden co robił na
wolności lewe
interesy na dużą skalę. Wiesz, jeden z
tych nowoczesnych złodziei z wykształceniem, który do roboty nie
używał brechy,
ale komputera. Taki Baksik w
wydaniu wojewódzkim. Był młody i wystraszony. W okularach ze
szkłami jak denka
od butelek po mleku i klatką
piersiową jak puste opakowanie po landrynkach. Mówię ci, istnie
pożał się Boże...
Sam wiesz, że ktoś kto tak
wygląda, ma tu przejebane od samego początku. Weź choćby tego
księgowego,
którego wsadzili za przewały na
rachunkach. No wiesz, tego z drugiego oddziału, co ojebał swój
zakład na grubo
szmal? No, tego, którego
pokazywali w telewizji? Wyglądał zupełnie tak samo. Chłopaki
przerznąli mu dupę
już po tygodniu. Tego zapewne
spotkałoby to samo, ale jebana matka opatrność czuwała nad nim od
samego
początku. Facet chyba czuł, że jeśli
nie stanie się szybko jakiś cud, to długo się tu nie utrzyma, a
już na pewno nie
zachowa do końca odsiadki swojego
dziewictwa. Wiedział też, że na taki cud zwyczajny, boski znaczy
się, nie miał
co liczyć, bo one może i się zdarzają

na wolności, jakimś tam pastuszkom na łące, ale nie w więzieniu i to łysiejącym, wychudzonym palantom, wsadzonym do kryminału za malwersacje. Postanowił więc sam sobie stworzyć taki cud. I udało mu się. Stworzył go sobie, skubany, już na wejściu. Wszedł za mury mając ze sobą wszechmogącego Boga. Tak, młody, Boga... Bo jak inaczej można tu nazwać portfel wypchany sałatą o największym w tym kraju nominale? Portfelem z pieniędzmi? Nie, młody, to była sama Bozia, która dla niepoznaki przyjęła postać zwitka banknotów... Bozia, która miała malwersantowi zapewnić za murami spokojniutkie życie. Od wejścia zaczął szastać szmalem na lewo i prawo. Bańka za uśmiech i przyjacielski gest, bańka za dobre słowo. Chłopaki pogłupieli. A razem z nimi klawisze. Ten okularnik miał w tym swoim portfelu więcej szmalu niż gad zarabiał przez rok. Zresztą jestem pewien, że trafiając za kratki wszedł z klawiszami w układ, a może nawet i z samym Naczelnikiem, skoro tak oficjalnie szastał tymi pieniędzmi. Wiesz, jakie są przepisy. Sam wiesz. Porządnemu złodziejowi, który przez całe życie harował brechą w pocie czoła, te pierdolone gadziny nie pozwalają trzymać w celi nawet złotówki. A ten frajer na legalu wniósł taką gotówkę. Musiał więc mieć z nimi jakiś układ. Nie ma chuja. Jeszcze tego samego dnia, kiedy przyszedł, przyleciała za nim pod celę paczka. Mówię ci, młody, ta rakietka wyglądała jakby zawierała pralkę, a nie artykuły żywnościowe. Była wielka i ciężka. A w niej same cuda. Konserwy, soki w kartonach i bez liku ramek zagranicznych papierosów. A były to czasy, kiedy komuna nie wyprowadziła się jeszcze na dobre z naszego kraju, a tym bardziej nie z naszych więzień. Wtedy jeszcze nie było tak, jak teraz. Rygor był większy. I o paczkę było trudniej. Jeśli już jakieś do kogoś przychodziły, były ubogie jak

rodziny, które je wysyłały. Jakieś obrzydliwe konserwy państwowych zakładów
mięsnych, kilka ramek Sportów, ze
dwa słoiki smalcu własnej roboty. A jeśli nawet było w nich coś
lepszego, to i
tak taki towar nigdy nie trafiał pod
celę, bo go zgarniali klawisze. Kiedyś bezkarnie mogli opierdolić
ci paczkę i
jedyne, co mogłeś zrobić, to bluznąć
im w myślach i zapłakać. Teraz klawisze boją się wziąć z paczki
cokolwiek. Ale
kiedyś, jeszcze parę lat temu,
mogłeś im naskoczyć, jeśli połapałeś się, że coś ci z paczki
zwędzili. A nie daj
Boże zakablowałeś o tym do
Naczelnika. Wtedy miałeś u klawiszy gorzej przejebane niż cwel ma
u nas.
Dopierdalali się do ciebie o byle co i za
cholere nie dawali ci żyć. Teraz może nie jest lepiej, ale
przynajmniej paczki
docierają pod cele w całości. Chociaż
tyle dobrego mamy z tej demokracji. Przynajmniej nie mogą nas już
gady bezkarnie
okradać. Mówię ci, młody,
czego to nie było w tej rakiecie. Same rarytasy. Baltony i peweksy
. Teraz to
wszystko można kupić w byle jakim
sklepie, ale wtedy takie dobra były dostępne tylko dla nielicznych
i to za
walutę wymienialną. Chłopaki z celi, do
której ten malwersant trafił, starzy zgredzi, którzy z niejednego
więziennego
pieca szamali chleb, patrzyli na te
wszystkie fikuśne dobra wprost zza berlińskiego muru i oczy im
wychodziły na
wierzch, a ociekające śliną jęzory
zwisły im do podłogi. Mówię ci, facet wiedział jak zrobić sobie
wejście. Mimo
że wyglądał jak stuprocentowy
kandydat na cwela, łeb miał na miejscu. I umiał z niego
skorzystać. Potrafił
czaszkować, jak mało kto. Od razu
rozdał połowę tego, co dostał. Skapnęło nie tylko tym z jego celi,
ale i
chłopakom na całym oddziale. Miał szeroki
gest, to się spodobało. Fakt, że wataha czuła, że gość tym
wniesionym wianem
chce się tylko porządnie
przypucować, ale smak zachodnich papierosów i wypchane niemieckimi
konserwami
żołądki, kazały przymknąć im

oczy na to jawne lizanie ich tyłków. Chłopaki po prostu pomyśleli o przyszłości. Facet dostał trzy lata. Trzydzieści sześć miesięcy. Rachunek był prosty. Trzydzieści sześć paczek pełnych zachodniego delikatesu. Przytulając tego palanta do swojej grypserskiej piersi, chłopaki najnormalniej na świecie zainwestowali w przyszłość. Opłaciło im się. Mówię ci młody, opłaciło im się i to jeszcze jak. Te paczki to nie przychodziły do niego raz na miesiąc, ale ze dwa, trzy razy, wszystkie pełne żarła i fajek, w takiej ilości, że w żaden sposób malwersant sam nie mógłby ich przejeść i przepalić. Trzeba mu było pomóc. Mówię ci, młody, to były czasy. Gdzie tam jakieś sporty, popularne, malboro się paliło, wielbłądy. Gdy się po jakimś czasie sztachnałeś jakimś polskim wyrobem, rzygać się chciało. Mówię ci... Tak wtedy było dobrze. Nawet klawisze pozamieniali klubowe na zagraniczniki. Nawet oni na tych regularnych dostawach spoza muru korzystali. Już w pierwszym tygodniu swej odsiadki facet załatwił sobie u Naczelnika pozwolenie na posiadanie w celi telewizora i wideo. Poniemajesz? Na samym starcie pozwolili mu mieć w celi całe to sprzęcicho. A wiesz jak trudno jest uzyskać na to zgodę. Nawet dzisiaj, kiedy tyle się zmieniło. Wciąż, żeby ją dostać, trzeba albo kablować i wszelkimi sposobami włązić w dupę Naczelnikowi i klawiszom, albo przemawiać do nich językiem finansowym, a i tak nie dostaje się tej zgody od tak od razu, hop siup, ledwie po kilku dniach kiblowania. A jemu się udało... Musiał skurwysyn nieźle posmarować Naczelnikowi tę jego i tak już klejącą się od przekrętów łapkę. Fakt faktem, malwersant pierwszego tygodnia swojej odsiadki miał w celi kolorowy telewizor na pilota i wideo razem z całą furą kaset. To jego zgredom z kabaryny całkowicie już zamknęło mordy. Ten frajer był dla nich kurą znoszącą złote jajka.

No i co, młody, sam widzisz, że mając siano można sobie kupić w więzieniu pozycję. Nawet jeśli się wygląda jak pół dupy z za krzaka. Teraz dzięki kapuście, każdy frajer może szamać z człowiekiem przy jednym stole. Nie powiem, nie żyło nam się wtedy źle. Nawet my tutaj, piętro wyżej, mieliśmy coś z tego dobrobytu, który tam na dole panoszył się po całym oddziale. Wiesz, jak jest. Znasz chłopaków. Są ludzie i ludziska. Jedni szczerzy i z gestem, drudzy chytrzy i pazerni. Dzięki tym pierwszym, nawet my na tym oddziale mieliśmy od czasu do czasu świeże dostawy. Przeważnie fajki, czasami też jakieś lepsze konserwy. Wystarczyło tego, żeby czuć się kontent. Ale mimo tego całego dolce vita, byli wśród nas tacy, którzy nie zapomnieli kim tak naprawdę jest nasz dobroczyńca. A on był nikiem... Zwykłym frajerem. Tylko pod czasową ochroną, którą zapewniały mu jego pieniądze. Bo gdyby nie one, to w dupsku tego frajera każdy więzień pewnie już dawno umoczyłby pychę. Szmal był jego glejtem do pozostania w świecie mężczyzn. Trzy lata, które dostał ten frajerzyna, minęły jak z bicza strzelił. Gdzieś miesiąc przed wyjściem zaczął się powoli szykować do wypiski. Przede wszystkim zaczął rozdzielać swój majątek. A jak na więźnia to miał całkiem pokaźny. Wiedział, że nigdy nie wolno palić za sobą mostów albo przeczuwał, że jeszcze tu wróci. W każdym razie zaczął zaklepywać różnym ludziom różne rzeczy ze swego wcale nieskromnego dobytku. A więc jednemu po jego wyjściu miała przypaść elektryczna golarka, drugiemu japoński samograj, trzeciemu jeszcze coś innego, w sumie każdemu z tych, którzy przez cały czas trzymali się blisko niego miało coś skapnąć. Telewizor i wideo, najwartościowsze przedmioty, miał dostać stary, kurewsko narwany recydens, który w tamtym czasie trzymał oddział żelazną łapą. Bali się go wszyscy, więc nikt co do takiego jego udziału w tym całym podziale

dóbr materialnych nie wnosił
sprzeciwu.

Nadszedł w końcu dzień frajerskiej wypiski. Już od samego rana
malwersant

przygotowywał się do tej wielkiej
chwili. Porozdawał to co poobiecował, a potem czekał niecierpliwie
aż dobry

klawisz wyprowadzi go poza mur. A

wiesz, młody, jak to jest z tymi wypiskami. Niektórzy klawisze, ci
najbardziej

wredni, potrafią cię wtedy

przytrzymać w celi niemiłosiernie długo, ot tak z czystej
złośliwości i przyjsć

po ciebie dopiero przed samym

końcem wypisek, kiedy jesteś już zielony z wkurwienia, a ręce i
nogi drżą ci

nerwowo, i zaczynasz się już

zastanawiać, czy aby coś nowego z twojego złodziejskiego życia nie
wypłynęło

nagle na dzienne światelko, i czy

aby nie cofnęli ci wolnościowego biletu. Znasz te opowieści o
chłopakach,

których cofano sprzed bramy, bo w

ostatniej chwili zawieszano im warunkowe? Znasz, słyszałeś, gibasz
już trochę.

Takie rzeczy się zdarzają.

Kurewskie życie więźnia pełne jest takich brutalnych
niespodzianek.

I właśnie jedna z takich niespodzianek spotkała tego frajera.

Prawie po całym

dniu oczekiwania na wyjście, jakiś

klawisz oznajmił mu w końcu, że wielki chuj z jego wypiski, bo
jakiś nadgorliwy

prokurator odnalazł jakieś nowe

dowody, że w tej sprawie, za którą go skazali, podpierdolił o
wiele więcej, niż

ta suma, za którą go sądzono i że

wolności to on raczej za szybko nie zobaczy. Podobno facet wtedy
zemdlał...

Zwalił się na betonkę jak kłoda... Nie

ma co się dziwić... Taka nieoczekiwana wiadomość, nawet
największego twardziela

zwaliały z nóg.

Płakał i rozpaczał przez parę dni. Mazał się jak dziecko. Łaził z
kąta w kąt z

zachlapaną facjata, pochlipując. Ale w

końcu zaczął dochodzić do siebie. Powoli powracał do rutyny
więziennego życia,

chcąc ułożyć je sobie po staremu.

Pewnie bez problemu by mu się to udało i brać gryperska z
powrotem przyjęłaby

go na swoje opiekuńcze, prawie
matczyne łono, ale facetowi ten wstrząs z wyjściówką nieźle
poprzestawiał w
łepetynie. Zaczął domagać się zwrotu
swoich rzeczy. Poniemajesz?! Zażądał zwrotu wszystkiego.
Telewizora, widlaka,
nawet ciuchów, które również
porozdawał. Znasz zasady, znasz rządzące celami prawo-daleś, już
nie twoje, ale
on był niemilosierdzie upierdliwy i
marudny. Facet chyba tak sobie czaszkował, że skoro go nie
wypuścili, to akty
darowizny automatycznie zostały
unieważnione. Nie kapował niczego. Upominał się o swoje i
upominał, a kiedy w
końcu dotarło do niego, że gównu
z powrotem dostanie, zrobił najgłupszą rzecz, jaką mógł zrobić, bo
zwrócił się o
pomoc do administracji. Widać
niczego się przez te trzy lata nie nauczył. A dobrze wiedział, jak
traktujemy
kapusi. Przez te parę lat widział to i
owo... Może myślał, że skoro dzielił się z nami tymi wszystkimi
paczkami, nic mu
nie zrobimy? Nie wiem. Głupi
był. Tutaj nie istnieją sentymenty. Najpierw wpierdolili mu
chłopaki z jego
własnej celi, potem podrzucono to co z
niego zostało do świetlicy, a tam poprawkę naniosła mu cała
złodziejska wataha.
Dziesiątka więziennych łapci
przez dobrych kilka minut kopało go gdzie popadnie. Podobno ktoś
nawet ściągnął
mu sztany i badeje i szykował
się żeby go przecwelić, ale przeszkodził w tym najazd klawiszy.
Wparowali w
ostatniej chwili. Gdy rozpędzili
chłopaków, ujrzeli okopane dupsko frajera, całe już lśniące od
kremu.
Przygotowane do wyruchania, jak należy.
Jeszcze minuta i zostałby frajer rozprawiczony. Sam widzisz,
młody, jaki los
potrafi być zmienny. Jak niewiele
trzeba, żeby go całkowicie odwrócić. Gość raz jeden tylko okazał
się głupi.
Bardzo głupi. Jeden jedyny raz. A za
głupotę tutaj tak właśnie się płaci. Ciężkim zgłanowaniem i
zgwałceniem. Bo nie
ma dla głupiego frajera żadnej
litości. Chuj takiemu w dupę.

Jeszcze tego samego dnia administracja zrobiła we wszystkich celach tamtego oddziału ostry kipisz. Szukali wideo i telewizora. Przez cały dzień przetrzepywali oddział. Tak jak się pewnie domyślasz, nic nie znaleźli. Wiesz, jak jest, znasz temat. Gdyby tylko było trzeba, potrafilibyśmy zakitrować w celach rozebrany na części motor, a co tam dopiero wideo i telewizor. Trzydzieści pięć cel. Ponad stu chłopów. A prawie każdy skazaniec zna jakieś miejsce, w którym można coś ukryć. Pytasz się, co się stało z tym frajerem? Nic. Przeżył. Pobyl trochę w szpitalu, a potem trafił na ochronkę. Do zboczeńców. Tam też się ustawił. Paczki przychodziły do niego nadal, więc nawet oni nie zerznęli mu dupy.

AMOR

Amor nie miał najgorzej. Był pedałem od urodzenia. To, do czego innych trzeba było zmuszać, on robił z przyjemnością. Usłużny i zawsze chętny był zabaweczką całego więzienia. Całkowite zniewieścienie i cienki, miły głosik przy odrobinie wyobraźni pozwalały dostrzec w nim kobietę, zwłaszcza gdy wpychało się fiuta między jego pośladki. Szczególnie upatrzyli go sobie recydywiści. Prawie co noc obsługiwał kilku. Nigdy nie narzekał. Może dlatego nie miał przejebane. Może dlatego, że zawsze był cwelem, traktowano go ulgowo. Nie bito i nie spychano go poza więzienny margines, tak jak robiono z normalnymi cwelami, którzy stali się nimi w wyniku słabego charakteru i niesprzyjających okoliczności i których nie traktowano jak ludzi, a gorzej nawet niż psy... Nie wiem. Wiem, że Amor jakoś w tym całym bajzlu się ustawił. I to nie najgorzej. I że był najchętniej i najczęściej używanym cwelem. Któregoś wieczora jego właściciele z celi, w której siedział, wypożyczyli go do naszej. W większości byliśmy młodzi, przyszedł więc chętnie. I od razu zabrał się do roboty. Z obrzydzeniem patrzyłem, jak jego głowa

znika pod kocem kolesia... A potem góra, dół... Góra, dół... Aż było po wszystkim. Nie zdążył nawet zetrzeć z twarzy śluzu i spermy, której się właśnie opił, bo kolejny, sterczący fiut już czekał na niego. I znowu góra, dół, góra, dół... I pomruki szczęścia wydawane przez obsługiwane.

Trzeci z naszej celi zażądał, żeby się przed nim wypiał. Zrobił to z ochotą. Nie wiem, czy dlatego, że tak bardzo to lubił, czy dlatego, że miał dość łykania spermy, której pewnie dziennie wypijał litry. Zaparł się o moje kojo, które było na parterze, tak że miał twarz na wysokości mojej i przez chwilę patrzył mi w oczy z uśmiechem, a kiedy tamten, co stał za nim w końcu mu wsadził, przymknął swoje z rozkoszą. Tego było mi już za wiele... Odwróciłem się na drugi bok. Tamten napierał na Amora, a Amor napierał na kojo, tak że całe się trzęsło... Całe latało, jakby właśnie było trzęsienie ziemi. Coraz szybciej i szybciej... A Amor stękał i jęczał... W końcu wszystko ucichło. Kojo stanęło. Koleś wciągnął badeje. Amor wykończony opadł na podłogę.

Zapadła cisza. Ale tylko na chwilę. Głos kumpla rozproszył spokój.-No co ty, Amor...? Przyszedłeś tu wypoczywać? No, dalej na kolana i łap w zęby mojego fiuta. Cały mnie już boli od tego stania.

Odwróciłem głowę i zobaczyłem, jak Amor bierze w usta kolejnego kutasa. I jak go ssie, ciągnie, tarnosi...

Znów więc odwróciłem się do ściany. I zagłębiłem się w myślach. Gdzie jestem?-pytałem sam siebie. W jakim wyładowałem świecie?! A Amor za mną ssał tego fiuta mlaszcząc i cmokając. Cmok, cmok... Aż rzygać się chciało. W końcu i to ucichło. Po chwili ktoś mnie dotknął. Odwróciłem się.

Mokra, zaśliniono-obspermiona facjata Amora patrzyła na mnie wyczekująco. W kącikach jego spracowanych ust zebrała się biała

wydzielina. Miał też jej trochę na brodzie. I bez liku białych
plam na całym
państwowym przyrodziewku.

-Ty też?

-Nie.

-Nawet laski?

-Nawet laski.

-To może chociaż ręką?

-Nie Amor, nie trzeba...

Wyraźnie odetchnął. Wstał z kolan i otarł rękawem usta. Zmierzył
ręką włosy.

Podciągnął opuszczone

sztany . I kiedy był gotowy, zastukał w drzwi celi.

Chwilę potem kupiony klawisz zaprowadził go do jego kabaryny.

HANS

Nie uśmiecha mi się ta dziara na twoim barku. Nie, nie ta. Na
drugiej ręce.

Gdzie ją sobie zrobiłeś? W

poprawczaku? Od razu, młody, widać, robota nieczysta, spartaczona.

Amatorszczyzna. Zresztą w dorosłym

więzieniu nikt kto się szanuje takiej sobie nie robi. Więc lepiej
nie świeć nią

przed ludzkimi oczami, małolat.

Dobrze ci radzę. Ktoś jeszcze zechce zabawić się twoim kosztem. Ot
tak, dla

samej hecy. A ten wzorek będzie

ku temu dobrym powodem. Stare zgredy nie lubią tych wszystkich
hitlerowskich

symboli. Któremuś się ten

twój wzorek nie увидzi i nim się obejrzysz, dostaniesz wpierdol.

Nie śmieć się,

to nie czczy nawijka. Mnie ta

dziara koło chuja lata, ale kogoś innego, mniej tolerancyjnego,
może kłuć w

oczy. Najlepiej więc trzymaj ją

pod ubraniem. Albo ją wypal. Nie jest duża, to i blizna nie będzie
wielka. Po co

przez takie gówny ryzykować.

Był tu jeden taki wydziarany w same takie emblematy. Młody,

milczący, ogolony na

łyso. Cichociemny,

patrzący na wszystko spode łba, z nikim nie trzymający sztamy.

Pomniejszych

swastyk miał na ciele bez liku,

ale na plecach, niczym ołtarz w kościele, jedną wielką, wpisana w
okrąg. A nawet

miał te połamane krzyże

wytatuowane na skroniach. Nazwaliśmy go Hans. Facet miał

prawdziwego zajoba na

punkcie Hitlera i tego

całego szajsu. W celi miał podobno nawet przemyconą „Mein Kampf” i podobno traktował tę książkę, jak biblię. A nad kojem ścianę wytapetowaną zdjęciami znanych hitlerowskich oprawców. W normalnej sytuacji takiego gościa w porządnym kryminale już dawno wyrównano by z parkietem, ale ta sytuacja nie była bynajmniej normalna i facet jechał na specjalnych prawach. Otóż był mordercą. I to dwukrotnym. Takim, co nie zajebał przypadkowo, ale z premedytacją, planując szczegółowo oba morderstwa. Mało tego. Gość podobno zbezczęścił zwłoki, obcinając im uszy. A takie coś to domena psycholi i zboczeńców, wszystkich tych, których tu na dzień dobry wpierdala się do wora. Ale jego, choć był młody i niski i wyglądał niepozornie, bali się wszyscy. Miał coś jebaniec w oczach, coś, co każdemu zdrowo myślącemu kazało trzymać się od niego z daleka. Nie stawiał się, ale też w żaden sposób nie dawał dupy. Był twardy. I dbał o kondychę. Podobno co rano przywalał na betonce pompki. Chodził też na siłownię. A kiedy wypuszczano nas na luft, przez całą godzinę zapierdalał wokół spacerniaka jak utytułowany kenijski bambus po stadionie. Ten potomek Adolfa Hitlera z matki kurwy budził respekt. Nawet zakapiory z naprawdę kosmicznymi pajdami, w tym więzieniu schodzili mu z drogi. Jednak któregoś dnia przyleciał na oddział gość, o którym we wszystkich więzieniach w Polsce mówiono legendy. To był ktoś, kto państwowy wikt miał już zapewniony do końca żywota; całkowity spokój na duszy, żadnych tam, kurwa, abonamentów i rachunków. Mateczka Polska miała już do końca jego życia wszystko opłacać za niego. Wsadzili go do celi, w której Hans czcił swego Führera, jak Jezusa Chrystusa. A był to gość ze starej gwardii. Miał szacunek dla tradycji. Wyobraź więc sobie, co poczuł, gdy zobaczył te wszystkie dziary

na ciele Hansa i to wszystko, co ten powywieszał sobie nad
łóżkiem. Tak, młody,
bebechy mu się ze
wściekłości przewróciły. To był już stary chłop, kto wie, może
nawet i pamiętał
wojnę.
Chłopaki z tamtej celi nawijali potem, że ten zakapior już po
kilku pierwszych
minutach wziął się za
młodego. Nawet nie brachnął do niego, bo chyba uznał, że na takie
czarcie
pomiotło używać gardła nie było
warto. Tylko od razu w cymbał. Zaskoczenie chłopaka było
całkowite. Otrzymał
cios od razu zwałił go z
nóg. Potem poszedł pod buty. Podobno zakapior glanował go bardzo
długo, robiąc
sobie krótkie przerwy co
kilkanaście kopnięć. Kiedy chłopak był już załatwiony na amen, to
znaczy kiedy
stracił przytomność,
recydens zapytał się reszty, który tu grypsuje. Na czterech trzech
podniosło
ręce. I tych trzech prawie od razu
ujrzało w powietrzu szeroki łuk, wykonany fikołem, który już po
chwili jednemu z
nich wybił zęby. Dwóch
zdażyło zrobić orient, ale za długo również nie cieszyli się
dobrym zdrowiem.
Jednemu i drugiemu ten
zakapior tęgo otłukł facjaty. I dopiero kiedy zlał ich tak, że
wyglądali, jak po
zderzeniu z ciężarówką,
powiedział im za co. Wiesz, młody, za co? Wiesz? Tak, dobrze
czaszkujesz. Wjebał
im za to, że pozwolili temu
łysemu tyle czasu skurwiać celę. Oni, którzy uważali się za ludzi.
Ten frajer,
który się nie zgłosił na zapytanie,
kto grypsuje, też leżał na podłodze. Miał chore serce i zemdlał ze
strachu,
widząc, jak tamten kręcił tym
taborettem. Mówię ci, młody, mało jest takich charakterów. Ledwie
pięć minut na
nowym i porządek, jak za
samego Stalina.
Gdy ten faszysta w końcu się ocknął, jego popodbijane oczęta
ujrzały już nową
rzeczywistość. Cały mandżur
z jego koja walał się po betonce, a zdjęcia hitlerowskich
apostołów zapychały

kibel.

- Od dzisiaj przy sraczu, jak cwel-zakomenderował zakapior-Nie waż się nawet spojrzeć na kojo.

Podobno Hans chciał coś brachnąć, ale chyba kątem oka zobaczył twarze

pozostałych, pokiereszowane jakby przejechały po nich ruskie czołgi, bo opuścił głowę.

Następnego dnia rano krzyk. Mówię ci, młody, klawiszowski ryj jeszcze na nikogo

nigdy tak się nie wydarł. I

tylko było słychać: kurwa! O kurwa! Wezwać lekarza! Wezwać lekarza! W końcu ktoś

bardziej przytomny

zawtórował nad tymi okrzykami i gromkim głosem wrzasnął: A na chuj tu lekarz!

Jemu to już tylko grabarz

jest potrzebny!

Zakapiora, który przyleciał dzień wcześniej, znaleziono na koju z poderżniętym

gardłem i rozprutym

kałdunem. A jego bebechy walały się po całej kabarynie, zwisały z prycz, a

ściany były czerwone od niuchy.

Mówię ci, młody, widok jak z horroru. A winny tego całego bajzlu siedział sobie

spokojniutko na stołku po

pachy ujebany we krwi. Jak jakaś gwiazda filmowa czekająca na kolejne ujęcie. Z

ubabrana mojką w dłoni.

Uwierzysz, że żaden z ich współwięźniów niczego nocą nie usłyszał? Żadnego

charknięcia, szamotania,

niczego? Uwierzysz? Nie? Ale tak właśnie było. Cała czwórka tych palantów spała

jak zabita, śniąc o

soczystych brochach i wielkich cyckach, kiedy Hans dokonywał rzezi. Nawet to nie

oni zameldowali o trupie.

To sam klawisz wlażł rano do celi, bo mu się przez judasza nie spodobał kolor

ściany.

Mówię ci, młody, cichutka robota. Rach-ciach. Jak w rzeźni ogłuszonemu

tuczniowi.

KONIOBIJ SADYSTA

Z miłością jest tak, jak opisał to Stasiuk: dzielenie prześcieradła i gdy gasną

światła, ręka wędruje pod kocem

do fiuta i heja... W więzieniu to najnormalniejsza rzecz. Powrót do wieku

młodzieńczego. Przymusowe
cofnięcie o kilka, kilkanaście, kilkadziesiąt lat... Bo trzepią
się nawet starzy
wyrokowcy, tacy co do których
można mieć już wątpliwości, że im w ogóle jeszcze stają.
Nocami robi się to albo gada. Niektórzy gadają jednocześnie się
brandzłując. Był
w naszej celi jeden taki, co
tarmosił swego fiuta, gdy tylko ktoś choć wspomniał o kobiecie.
Nieważne o
jakiej... Siostrze, matce, ciotce...
Starej czy młodej... Wystarczyło, że tylko wspomniało się jakąś
kobietę, opisało
ją trochę, a z koja tamtego
typa od razu zaczynały dochodzić charakterystyczne dźwięki, które
z naszych
wyrek dochodziły tylko
czasami, z jakiś raz, ze dwa razy na tydzień. A tamtemu
zbożeniowi było
wszystko jedno, co do pory dnia
czy nocy, nastrój miał zawsze. Mówił, że ma ksywkę Kosior, ale my
ochrzciliśmy
go Koniobij. Tak na
początku, po kilku dniach od kiedy do nas trafił. Potem, kiedy
okazało się, że
potrafi katować swojego kutasa
po kilka razy dziennie i że ciągle mu mało, nadaliśmy mu jeszcze
drugie
chrzestne imię-Sadysta. Uśmiechał
się, kiedy ktoś się tak do niego zwracał. Chyba mu się podobało.
W końcu te jego nałogowe miłostki z własnym interesem zaczęły nas
wkurwiać. I
jeszcze to jego gadanie. Bo
kiedy się nie trzepał, to gadał jak najęty, zawsze o kobietach. O
tym, jak je
przelatywał, a opisywał to bardzo
szczegółowo. I obrzydliwie. Seks w jego opowieściach był brudny i
zwierzęcy...
Gorszy nawet niż z jakąś
zasyfiałą kurwą na najnędzniejszej melinie. Facet miał coś z
głową, to było
pewne, chociaż na takiego nie
wyglądał. Z gęby był nawet przystojny i sympatyczny. A poza tym
był szeroki w
barach. Naprawdę miał
czym rzucać na boki. Dlatego stopowaliśmy się w doskokach do
niego, chociaż
nieraz mieliśmy na to ochotę.
Ale w końcu tama pękła... Raz kiedyś jeden koleś nie wytrzymał i
pierdolnął go w
caban, w chwili gdy tamten

zaczął tarmosić swojego fiuta, zaraz po tym gdy chłopak akurat skończył opowiadać o swojej zmarłej matce. Był chudy i mały, ale przywalił porządnie. Koniobij spadł z koja. Ale zaraz poderwał się i rzucił na chłopaka. Był dwa razy taki jak on i pewnie by go ukatrupił, gdyby nie opatrznosc boska. To znaczy dwóch innych współwięźniów i ja. Wzięliśmy zboczeńca w obroty i gdzieś około kwadransa kuliśmy mu mordę. Umiejętnie, jak kowale. Nie grypsował, więc koleś, który trzymał z wataha pozwolił wziąć go pod glany. Gdy skończyliśmy z nim, wyglądał jak coś rozbebianego na podłodze, czego za nic nie dawało się rady określić. Od tamtej pory pytał o pozwolenie, kiedy chciał sobie zwalić gruszkę. Wspaniałomyślnie pozwalaliśmy mu na to dwa razy w tygodniu. Wiedział już co go czeka, gdy przekroczy tę normę. Po jakimś czasie nasz Koniobij sprawił nam nielichą niespodziankę. Ktoś nawinał na spacerniku, że to zboczeniec wsadzony za gwałt na małej dziewczynce. A nie za włamanie, jak ściemniał pod celą. To był wyrok. Wykonaliśmy go, gdy zgasły światła. Wyglądało to mniej więcej tak, jak przy naszym pierwszym wspólnym tańcu. Tylko trwało o wiele dłużej i o wiele bardziej go bolało. Owinęliśmy mu łeb kocami, żeby nie było słychać jak drze ryja. I młócka. Napierdalaliśmy go, aż opadliśmy z sił. Rano klawisze zabrali go do szpitala, a po paru dniach, gdy jakoś pozbierano go do kupy, przenieśli go do celi, w której siedział jakiś inny zboczeniec, któremu też zmieniono wygląd, tylko że na innym oddziale. Potem nawet na spacernik wpuszczano ich oddzielnie. Tylko przez tydzień za ten wpierdol, co mu sprawiliśmy, nie dawano nam na obiad drugiego dania.

ŚCIEŻKA ZDROWIA

I coś ty, młody, taki delikatny...? Boli... Boli... Wiem, że boli. I jak boli.

Lole już nieraz sprawdzały

wytrzymałość moich pleców. I na przesłuchaniach, i na ścieżkach
zdrowia. Czy tu,
czy tu, impreza nieważna,
boli tak samo. Jak gady mają kondychę i faszystowskie charaktery,
wystarczy
dwóch, żeby w zamknięciu
zrobić z tobą to samo co cały szpaler klawiszy zrobiłby z tobą na
lufcie. Masz,
pij... Czekaaj, pomogę. No, unieś
się trochę, chłopie, unieś... No, pij... Pij... Niech ci idzie na
zdrowie. Wiem,
że po takim wpierdolu to nawet
woda ciężko przez gardło przechodzi. Ale woda najlepsza. Zresztą
nic innego po
takim laniu przez gardło ci
nie przeleci.
Pierwszą ścieżkę zdrowia zaliczyłem już przy pierwszej odsiadce.
Miałem pecha,
bo do kryminału
przyleciałem z transportem starych zakapiorów, którzy parę dni
wcześniej
uczestniczyli w jakimś buncie. W
Stargardzie Szczecińskim czy gdzieś... Podobno byli tego buntu
przywódcami.
Takich w tych więzieniach, do
których potem za karę ich rozwożą, oczekuje więcej osób niż
klawisz przy bramie
i ci na wejściówce. Mówię
ci, komitet powitalny, który na nas czekał zadowoliliby każdą głowę
zaprzyjaźnionego państwa. Tyle że to nie
było lotnisko, a ci co nas witali nie mieli w rękach kwiatów. Było
ich ze
czterdziestu. Pewnie cała obsługa tej
puszki. Ujrzeliśmy ich w okienku gabloty, kiedy kierowca po
wjechaniu na
dziedziniec zawrócił, ustawiając
wylot budy wprost na nich. Mówię ci, gdy ujrzałem wtedy te ich
zacięte, nie
wróżące niczego dobrego mordy i
wyprężone ciała stojące w równym rzędzie jak sztachety w płocie,
omal za strachu
nie zesrałem się w gacie.
Co ja wtedy miałem...? Osiemnastka...? Młodziutki byłem... Nawet
nie odkiblowałem
żadnego z młodzieńczego
zakładu, żeby przyzwycząić się do krat i czegoś tam o życiu za
nimi się
dowiedzieć, od razu po pierwszym
numerze do normalnego kryminału mnie wjebano, nawet zawiasów nie
dano. O kratkach
wiedziałem tyle, co

nic. Kraty w oknie w pokoju przesłuchań na komisariacie i te na dołku to był mój cały bagaż doświadczeń. A tu na dzień dobry od razu z grubej rury: kolesie z transportu, bandycka elita i powitanie godne więziennych królów. Może gdybym miał wtedy trochę już odgibane, czułbym się dumny z takiego przyjęcia, gadzi szpaler przecież nie każdy wita transport, ale mnie wtedy, małolata, widok tych wyprostowanych palantów poraził, jak piorun. Bałem się, mówię ci, bałem się jak sam skurwysyn. -No to, chłopaki, przygotujcie się na miłe powitanie-powiedział całkiem spokojnie jeden z tych, co ze mną lecieli. Zaraz potem otwarły się drzwi do budy. Słoneczko rozświetliło jej wnętrze. Rozjaśniło twarze. Na żadnej z tych bandyckich facjat nie ujrzałem strachu. Na żadnej. Za to oni widzieli go na mojej. Byłem wtedy jedną, wielką, trzęsącą się galaretą. -Co obsmarowanie, pierwszy więzienny tor przeszkód?-zagadnął mnie jeszcze jeden z nich, nim w drzwiach budy ukazała się okrągła gęba klawisza i wydarła na nas ryja, każąc wychodzić po kolei. Kierowca ustawił gablotę w ten sposób, że każdy kto opuszczał budę od razu wpadał w gadzi szpaler, tak że wpierdol już zaczynało się dostawać, gdy tylko postawiło się stopę na ziemi. Pierwszy, który wyszedł, rozpoczął walkę z żywiołem. Patrzyłem, jak osłaniając rękami głowę przedziera się przez wąski gardziel ludzkiego tunelu i na przecinające powietrze lole, które bezlitośnie ładowały na całym jego ciełe. Klawisze napierdalali z całej siły. Lali ile wlezie. Pierwszy zawodnik nie wytrzymał tych uderzeń i rozkraczył się w połowie. Najpierw padł na kolana, ale kilka kolejnych razów sprowadziło go do parteru. Klawisze, między którymi zaliczył glebę, od razu odciągnęli go na bok. Z następnym było podobnie. Pały klawiszy wbiły go w ziemię prawie dokładnie w

tym samym miejscu, co
jego poprzednika. Gęby gadów, którzy stali w szpalerze dalej i do
których nikt
jeszcze nie dotarł, wyrażały
rozczarowanie. Tak bardzo chcieli sobie tymi pałami ponapierdalać,
a tu jak na
razie delikwenci nie potrafili
przejsć półfinału.
Trzeci zarył nosem w piasek jeszcze szybciej. Jakiś nadgorliwy lub
niedowidzący
gad od razu solidnie huknął
go lola w łeb, tak że chłopak błyskawicznie dostał zaćmy. Nie
zdażył nawet
zrobić dwóch kroków. I mimo że
leżał i się nie ruszał, pierwsi z brzegu klawisze przyłożyli mu
jeszcze parę
razy, chcąc sprawdzić czy nie udaje.
Nie udawał. Nawet nie zareagował na te uderzenia, choć były
naprawdę mocne.
Leżał na piachu
nieprzytomny z krwawiącą głową.
Czwarty poszedł sprintem. Bokiem, kuląc się pod samymi łapkami
klawiszy. Jak się
znacznie później
dowiedziałem, to na ścieżkę najlepszy sposób. Był szybki, gadzie
blondyny nie
uderzały go mocno. Ci
klawisze, o których się ocierał, nie mogli wziąć przez tą jego
taktykę solidnego
rozmachu, żeby ciosy były
odpowiednio silne, a klawisze stojący im naprzeciw, również
markowali ciosy nie
chcąc przez przypadek
uderzyć kolegów. Facet pokonał połowę szpalera i przeszedł do
drugiej tury
konkursu. Tu w końcu mogli
sobie ulżyć ci , którzy dotychczas nie mieli okazji, a zrobili to
nadmierzają
gorliwie. Chłopak wpadł w
gradową burzę. W oko cyklonu. Rozłożył się dotykając już prawie
palcami mety.
Następny skoczył tak samo jak ten przed nim. Ale był misiwaty,
niezgrabny i
jakoś nie bardzo mu to wyszło.
Prac przed siebie przewrócił paru klawiszy. I to im się bardzo nie
spodobało.
Chyba uznali, że zostały
złamane jakieś reguły gry czy co, bo zburzyli szpaler, wzięli
chłopaka w
kółeczko i przez kilkadziesiąt sekund

pastwili się nad nim. I gdy zrobili z niego mokrą, krwawą plamę ponownie ustawili się w rządkach. Tym razem już specjalnie dla mnie. Bałem się tak, że klawisze musieli mnie z budy wyciągnąć. Opierałem się jak mogłem, śląc im przez łyzy grube wiąchy, ale ich silne łapska uchwyciły mnie za łachy i wyrzuciły moje wątle, gówniarskie ciało między mundury. Już pierwsze lole wbiły mnie w ziemię. Mogłem jeszcze wstać i biec, ale na chuj. Nie miałem nawet szansy na przebiegnięcie metra. Byłem wtedy mały, chudy i wątkły, byle wiatr mnie przewracał, sama skóra i kości, przywarłem więc do gleby, wsadziłem mordę w piasek i zacisnąwszy zęby brałem lanie od tych łobuzów... Nie wiem, czy dlatego, że byłem taki młody i płakałem, czy też dlatego, że tym skurwielom zabrakło już pary, ale po kilku lolach dali mi spokój... W sumie jak na pierwszą ścieżkę zdrowia nie oberwałem za mocno. Jako jedyny pod celę doszedłem o własnych siłach. No co, no co tak młody jęczysz...? Boli... Boli... Wiem, że boli. I jak boli. Przeszedłem już kilka ścieżek zdrowia w swoim życiu. Leż i się nie ruszaj. Wtedy boli mniej. Chcesz jeszcze pić? Chcesz? No to unieś trochę głowę.

MOJKA

Żeby dostać taka ksywkę, trzeba było naprawdę na nią zasłużyć. Przez całe więzienne życie trzeba było być ostrym facetem. A on takim był... Podobno. Gdy trafiłem za mury, a było to na początku lutego, nie był już jednym z tych, którzy trzęśli całym mamrem. Ale podobno jeszcze miesiąc wcześniej należał do tych, z którymi liczyli się wszyscy skazańcy i klawisze. A nawet Naczelnik. Bo byli to więźniowie zepsuci do szpiku ości. Żli jak same diabły. Albo nawet i gorzej. Z dożywotnimi wyrokami. Każdy z nich mógł zabić i wcale się tym nie przejać. Czuli się bezkarnie. Bo jak można było ich jeszcze ukarać za kolejnego trupa? Czapa? Jej od lat już nie dawano.

Życie Mojki zmieniło się z chwilą, gdy dowiedział się, że może starać się o warunkowe. Że ze względu na nową uchwałę, jego wiek i tym podobne rzeczy...
Prawie oszalał ze szczęścia. Był stary, miał już coś ponad pięćdziesiątkę, chociaż trzymał się nieźle i był przekonany, że wolnościowy luft owieje go już tylko w trumnie. A tu coś takiego. Ale na to zwolnienie musiał sobie zasłużyć. Taki był warunek. Postawił mu go Naczelnik. -Słuchaj Mojka-tak jakoś powiedział-żeby wyjść musisz od dzisiaj być jak aniołek. Koniec z rozróbami i obijaniem facjat nowym zaciągom. Kapewu?
I Mojka się zmienił. Mijał trzydziesty rok jego odsiadki i perspektywa rychłej wolności przemówiła mu do wyobraźni. Wino, kobiety i śpiew...
Córka gdzieś tam w Polsce. Dorosła, dzieciata... I syn, którego nigdy nie widział... I drzewa, jeziora... Mojka był wniebowzięty. Rozpoczął żywot świętego. Odizolował się od wilczej hordy. Wyciszył. Zmienił się nie do poznania. I im bliżej był wypiski (a miało to być na wiosnę, jak obiecał Naczelnik) Mojka cichł coraz bardziej. Zwapniał. Pozwalał sobie nawet ubliżyć. Odpuszczał chamstwo nawet frajerstwu. A gdzieś w marcu poprosił Naczelnika o osobną celę. -Chcę się psychicznie przygotować do wyjścia na wolność-powiedział mu. I dostał pojedynkę. Zamienił ją w pustelnię. Nawet przestał co dzień wychodzić na dreptania. Nadeszła wiosna. Zza murów dochodził zapach kwitnących drzew. I świergot ptaków. Zrobiło się na świecie kolorowo i miło. Nawet za kratami na powiew tego świeżego powietrza poczuliśmy się lepiej. Przez coraz dłużej pootwierane okna wpadało do cel zbawcze powietrze, wywiewając z nich cały ten syf, który zgromadził się w nich zimą. Stęchły pot i wszelki inny smród. Poprawiało to wszystkim samopoczucie. Ale wiosna przemijała, a Mojka nie wychodził. Rzadko też pojawiał się na

spacerniaku. I prawie już z nikim nie gadał, a jeśli już z kimś zaczynał
nawijkę, to
pierdolił od rzeczy. O rodzinie, żonie, która już dawno zapomniała
o nim, a może
już nawet i nie żyła, i o tym co będzie robił na wolności. Szło
się zanudzić.

Unikali

go nawet starzy kumple. Starym zgredom nie podobała się jego
przemiana.

Aureola świeciła nad jego głową jak psu jajca. A nosić nad cabanem
taką ozdobę

nie było za kratami w dobrym guście. Zwłaszcza nie przystało to
facetowi, który

miał na sumieniu niejedno życie.

Zaczął się czerwiec. Wiosna miała się już ku końcowi. A Mojka
nadal siedział. I

czekał cierpliwie na swój bilet na wolność.

W dniu rozpoczęcia lata Mojka podreptał do gabinetu Naczelnika,
żeby zapytać co

jest z jego sprawą.-Nic nie jest, Mojka, nic nie jest, odparł
Naczelnik, sprawa

się

tylko odwleka. -Dlaczego odwleka, panie Naczelniku-zapytał Mojka.

-To już

zależy od tych na górze Mojka, od tych na górze-odparł Naczelnik i
rozłożył

bezradnie ręce. Na koniec obiecał zadzwonić gdzie się da i
przyspieszyć sprawę.

Mojka podziękował i wyszedł. Z nowa nadzieją. Od miesiący trzymał
się jej jak

głupi.

Minęło lato, rozpoczęła się jesień. A Mojka starzał się w swej
pojedynce. Sam ze

swoimi myślami. Ze swoją nadzieją. Z marzeniami, które miały się
spełnić poza

murami.

Gdzieś na początku zimy Mojka znów udał się do Naczelnika. Gadka
była

podobna jak na początku lata. Obiecanki cacanki. Mojka wyszedł od
niego

przybity. Potem przez wiele dni nie pokazywał się na spacerniaku.
Wtedy też

pojawiły się plotki. Takie, że ten wolnościowy bilet dla Mojki to
był zwykły

pic,

że Naczelnik w ten sposób chciał go uciszyć. Nawijano też pod
celami, że

Naczelnik po prostu założył się z klawiszami, że uda mu się Mojkę
utemperować.

O pół litra. Jeśli tak faktycznie było, to na pewno już dawno je wypili.

Plotki te dotarły w końcu do Mojki. Musiały do niego dojść, bo przez jakiś czas

nie

mówiło się pod celami o niczym innym. Podobno załamały chłopca zupełnie.

Pewnej zimowej nocy usłyszeliśmy syrenę. Jej wycie obudziło całe więzienie.

Dopadliśmy do okien. Przez bramę wjeżdżała karetka. Czasami przyjeżdżała po

delikwentów, którzy zaprawili się choinkami czy jakimś innym żelastwem i jej

widok nie był dla nikogo zakoczeniem, ale tej nocy była jak katowana kurwa.

Jeśli

ktoś zrobił przegięcie, to dużego formatu. Przez godzinę nie odchodziliśmy od

krat.

Po jakimś czasie ktoś z innego oddziału krzyknął przez okno: MOJKA CHŁASNAŁ SE SZYJĘ SWOJĄ IMIENNICZKĄ.

W końcu erka odjechała, nie zabierając pasażera. Prawie otarła się w bramie z

czarną nyską wjeżdżającą na dziedziniec. Napis „CHARON” na jej boku

powiedział nam wszystko.

Tak skończył Mojka. Wykiwany na stare bandyckie lata. Rano miałem wypiskę.

Chociaż jedna osoba poszła za jego trumną.

MORDERCA

Dobra młody, skoroś taki uparty... Gotowy? No to notuj w tym swoim kajecie...

Zaczynałem jako złodziej. Specjalizowałem się w robocie parkowej; zająć kogoś z

partyzanta, w łeb i dziesiona. Do brechy i nocnej roboty się nie nadawałem, za

nerwowy byłem, żeby pruć drzwi sklepów i mieszkań. Ale nawet na tych parkach

na swoje wychodziłem, jakiś szmal w kieszeniach zawsze się telepał. Zawsze było

na wódę i na jakieś kurwy. Nadziane frajerstwo jakoś zawsze lubiło przez ten

park

przechodzić. Na swoje nieszczęście. Łbów to ja w tym parku rozbiłem od cholery.

Jedną zasadę tylko stosowałem—żadnych babek. Taki dżentelmeński byłem. Ale

teraz myślę, że to był błąd. Takich odszykowanych babek to przechodziło przez

ten park co niemiara. Na jego obu wylotach były drogie sklepy i te panusie tak

kursowały między jednymi a drugimi, żeby powydawać ten mężowski grosz, którego pewnie od chuja miały w tych swoich torebkach. Tak teraz sobie myślę, że przez to moje dobre serce, gdzieś ze dwa tysiące nowych złotych przechodziło mi tygodniowo koło nosa. Szło mi dobrze z jakieś dwa lata. Żadnych wpadek, nawalanek, niczego. Robota szła mi czysto i gładko. Bejsbol przeważnie raz tylko lądował na czyjejś głowie i było po wszystkim. Tylko czasami musiałem nanosić poprawki, bo delikwenci mieli twarde łby, na które nie działały pojedyncze argumenty. Powtórka skutkowałą. Klienci siadali na dupie. Potem jeszcze glan i rozkładali się na amen. Ale przeważnie nie musiałem ich kopać. A zdarzali się i tacy, których nie musiałem w ogóle bić. Gdy się jakoś ścięli o co biega, ujrzeli bejsbol i swoją bandycką mordę, sami wyskakiwali z fantów, które to mieli po kieszeniach pochowane, płacząc i prosząc, żebym ich nie zabijał. Bo takie frajerstwo zawsze myśli, że jak już ktoś chce ich obrobić, to i pewnie od razu kosę ożenić. Takie to już o dziesionażach zdanie pokutuje. A przecież chuliganka to praca, jak każda inna. Wymaga i precyzji i predyspozycji. Trzeba przecież przypierdolić w łeb tak, żeby nie zabić, a jedynie odstawić klienta na jakiś czas do krainy zapomnienia. A to nie lada sztuka. Chociaż trupy się zdarzają. Ale zabija się przez przypadek. Niechcący. Takie „niechcący” stało się właśnie moim udziałem. Błąd w sztuce. Fuszerka. Jak to tam nazwać, nawaliłem, bo na robotę poszedłem kompletnie nachlany. A trzeba mieć szacunek dla swojej roboty. Nawet jeśli się jest złodziejem. Wtedy to nawet tym bardziej. Bo co możesz zrobić nie tak po pijanemu w jakiejś normalnej pracy? Łapę w maszynę wsadzić, czy coś tam spierdolić i co najwyżej szef wyrzuci cię na

bruk, ale wpadka w złodziejstwie może cię kosztować o wiele więcej-kilka lat w zamknięciu, a nie raz nawet i całe życie. Nawaliłem, bo do tego parku poszedłem najebany jak meserszmit. Wprost z całodobowej imprezy. Akurat szmal się na niej wykończył i nie było już za co ciągnąć tej balangi, więc choć ledwo stałem na nogach, zaoferowałem się, że zaraz jakiś skołuję. No i poszedłem do tego parku. Było już ciemnawo. Nawet długo nie czekałem. Jeleń nawinał się jakoś zaraz, a byłem tak nałojony, że nawet nie obstukałem go fachowym okiem, czy w ogóle warto walić go po głowie. Od razu rzuciłem się do ataku. Nawet nie z cichacza zza jakiegoś drzewa, frontalnie poszedłem na niego, już z daleka machając swoim narzędziem pracy. Facet ściał się od razu co się kroi i zaczął spierdalać, drąc się wniebogłosy. Normalnie po takim niewypale sam dałbym nogi za pas, ale gorzała całkowicie odebrała mi rozum. Facet był wypasiony i kondychy do ostrego biegu starczyło mu tylko na kilkadziesiąt metrów. Dopadłem go, rzuciłem na glebę i zacząłem napierdalać. Facet dalej się wydierał, więc sflekowałem mu ryja, aż w końcu zamknął jadaczkę. Obszukałem mu kieszenie i gdy znalazłem portfel, poszedłem w długą. I wróciłem na tą pijaną imprezę. Za to co tłuściochowi skroiłem bawiliśmy się do białego rana. O tym, że go zabiłem dowiedziałem się dopiero dwa dni później. Gdy wytrzeźwiałem. Cynk dał mi koleś, który czasami też pracował w tym parku, wyrывая emerytkom torebki. Co wtedy czułem? A co, młody, mogłem czuć? Gówniarz byłem i nie chciałem jeszcze pójść kiblować. Srałem w gacie ze strachu. To był trup. A trup to nie byle co. Na nieboszczyków gliniarze tak szybko nie machają ręką. Tylko wszędzie węszą i sprawdzają co się da. Wiedziałem, że jak się uwezma, to szybciutko odnajdą drogę do mojej osoby, o której istnieniu zresztą mieli już jakie takie pojęcie. Kiedyś nawet zgarnęli mnie z tego parku. Ale wtedy

byłem jeszcze dzieciakiem i dali mnie pod sąd dla nieletnich. Tam rozbeczałem się, przeprosiłem i obiecałem poprawę, to dali mi tylko kuratora. Ale wiedziałem, że takie informacje nie giną w policyjnych aktach i że po tym nieboszczyku gliniarze zaczną wygrzebywać z nich wszystko, co kiedykolwiek miało coś wspólnego z tym skwerem zieleni i że w końcu i mnie w toku śledztwa, rutynowo dobiorą się do dupy. A sam pewnie wiesz, młody, jak oni potrafią się do tyłka dobierać. Na przesłuchaniach potrafią tak napierdalać, że człowiek przyznaje się nie tylko do rzeczy, które zrobił, ale również do tych grzeszków, których nie popełnił oraz do napisania „Pana Tadeusza” i całej trylogii. W zamknięciu sam na sam z dzielnymi policjantami każdy bandyta jest na straconej pozycji. Cały dzień kombinowałem co tu zrobić i w końcu postanowiłem zamelinować się na jakiś czas u takiej jednej wdowy, prawie już emerytki, którą posuwałem od czasu do czasu. Mieszkała na peryferiach miasta, tam gdzie psy dupami szczekają i gdzie już nie uświadczysz żadnej knajpy, a nawet i meliny z prawdziwego zdarzenia. Na takiej prawie już wsi, skąd już tylko przez okna pola i lasy widać. Tak sobie wymyśliłem, że ta meta to będzie najlepsze miejsce, żeby trochę przeczekać. Tę wdowę znałem już kupę lat, a i dmuchałem ją niewiele krócej. Znałem też dobrze jej męża, nim się przekręcił na marskość wątroby. Ja i połowa moich kumpli przeszliśmy za jego pieniądze pijacką edukację. Stara miała już dobrze ponad pięćdziesiątkę i była straszliwie brzydka, ale jej chata była dla mnie zawsze szeroko otwarta, cała do mojej dyspozycji, łącznie z lodową, która to zawsze pełna wszystkiego była, jedyne co musiałem za to robić, to wydymać ją co jakiś czas, co

wcale nie przychodziło mi z trudem, bo zwykle wpadałem do niej tak pijany, że było mi wszystko jedno, kto akurat kotłuje się ze mną na jebadełku. Ale teraz miało być inaczej. Miałem zamiar zakotwiczyć u niej dłużej niż zwykle, do czasu gdy dowiem się na czym stoję. A mogło to trochę potrwać. A babka była naprawdę wstrętna. Dać jej miotłę i mogła bez charakteryzacji robić w dobranockach za Babę-Jagę. A poza tym nie pozwalała nikomu u siebie pić. Przez tego swego zmarłego męża była tak uczulona na gołdę, bo on chlał na umór. Mogłeś przyjść do niej pijany, nie było problemu, ale wypić u niej nie miałeś szans. I to mnie właśnie najbardziej wkurwiało. To, że w zamian za dach, wikt i opierkę, będę musiał ruchać tę czarownicę po trzeźwemu. Przyjęła mnie z otwartymi ramionami. Miska uśmiechała się jej od ucha do ucha. Dawno u niej nie byłem, a pewnie oprócz mnie nikt już nie zaglądał jej pod spódnicę. Wtedy też, chyba po raz pierwszy, zobaczyłem ją na trzeźwo. I mówię ci młody, zawartość żołądka od razu podeszła mi do gardła. Ale cóż. Jej chata była wtedy dla mnie najlepszą przystanią, o której nie wiedział żaden z moich kumpli. Bo fakt faktem wstydzilem się tej starej rupeceli. Bo bardziej pasowała na moją matkę niż kochankę. A od biedy mogła nawet uchodzić i za moją babcię. Ale wtedy jej znajomość okazała się bezcenna. Żaden koleś o niej nie wiedział, więc nikt nie mógł gliniarzy naprowadzić. Przemogłem się więc i z zamkniętymi oczami prawie od razu ją wyruchałem, żeby przynajmniej tego pierwszego dnia mieć to już za sobą. I mieszkałem tak sobie w tej parterówce, prawie dwa wczesnojesienne tygodnie. To nie była wścibska kobieta, o nic nie pytała, nawet jeśli jakieś pytania pałętały się w jej nadżeranym już przez starczą sklerozę mózgu. Nawet nie gadała do mnie za wiele, krzątała się tylko po kuchni, pichcąc dla mnie różne smakołyki, albo coś

tam szyla na maszynie. Bo ona byla krawcową i z tego wlasnie zyła.
Przez ten
czas
prawie nigdzie nie wychodzilam, tylko czytalem gazety, ktore stara
co rano mi
kupowala, ogladalem telewizje i sluchalem radia. W gazetach to
nawet pisali
troche o tym nieboszczyku, ale ogolnikowo, zadnych konkretow. Ze
policja
sprawdza miejscowy swiat przestepczy, bada slady i tym podobne
pierdoly. Ani
slova o ewentualnych podejrzanym. Gość, ktorego tak niefortunnie
obrobilem byl
emerytowanym wojskowym. W jednej z gazet bylo nawet jego zdjecie.
Facet na
nim byl szczuplutki. Ani troche nie przypominal tego spaślaka z
parku. Pewnie
pstryknal sobie te fotke, kiedy jeszcze nosil mundur i kiedy nie
wypadalo mu byc
tlustym jak swinia.
Wiedzme ruchalem co dwa-trzy dni. Chyba ze wzgledu na ten swój juz
z lekka
posuniety wiek nie miala juz duzych potrzeb. Najczesciej bralem ja
od tyłu, zeby
nie patrzec na jej ryja. Dupę miala jeszcze calkiem znośną i gdy
tak chwile
sobie
na nia popatrzyłem, to nawet nie musiałem się zmuszac, zeby mi
stanal. Jedyne
pare ruchow ręką i pyta się prostowala. I do roboty. Przyjemność
to prawie nie
byla wcale. Zwlaszcza, ze byłem nieprzyzwoicie trzeźwy i te
resztki szarych
komorek, ktore jeszcze mialem w glowie, przytomnie ocenialy
rzeczywistość.
Jedyne wiedzme sprawialo to przyjemność. Stękala i jęczala tak,
ze ktoś
slyszac
to moglby pomyslec, ze rznę jakas malolatke, a nie stara,
zdezelowana lampucere.
Na luft wychodzilam tylko wieczorami. Dla bezpieczenstwa.
Wlaczylem się po
pobliskich spokojnych uliczkach, nigdy zbyt daleko nie oddalajac
się od mety.
Zreszta nawet nie bylo tam gdzie łazic. Do normalnych osiedli, z
jakimiś
otwartymi do pozna knajpami, bylo daleko, a tu gdzie się akurat
bujalem, to
taka,
juz ci mowilem, prawie wioska byla, zewszad czesciej od swiergotu
wróbli

dochodziło gdakanie kur, które to właściciele posesji w o
ogródkach hodowali,
krów tylko brakowało, żeby czuć się jak na prawdziwym pipidówku. A
więc tak
łaziłem sobie wieczorami bez żadnego celu, rozmyślając o tym swoim
parszywym
życiu. Tego, w co się wjebałem, w pełni świadomy byłem, wiedziałem
też, że te
wakacje u mojej Baby-Jagi skończą się prędzej czy później. Byłem
wtedy
przekonany, że gliniarze już ganiłi za mną po całym mieście i że
jest tylko
kwestią czasu, kiedy namierzą mnie na tym wygwizdowie. Musiałem
coś
wykombinować. Znaleźć jakieś wyjście z tej parszywej sytuacji.
Łaziłem więc tak
sobie wieczorami po tej wsi -nie wsi i wysilałem swoją makówkę,
która to nigdy
do poważniejszych rozmyślań nie miała talentu. Mówię ci, młody,
rozmaite
pomysły przychodziły mi wtedy do głowy, ale wszystkie je można
było tylko o
kant dupy rozbić. Myślenie nigdy nie było moją mocną stroną. Gdyby
było inaczej,
nie polazłbym nachlany na robotę.
Ale w końcu któregoś wieczora samotnego się włóczenia
wykombinowałem.
Pewien wolno stojący dom mi w tym pomógł. Kwadrat stojący na
jednej z tych
prawie wiejskich uliczek, największy w okolicy. Metrażu to on miał
od zajebania,
jak jakaś kamienica, szkoła, w której pisać i czytać bezskutecznie
mnie
próbowano
nauczyć, chyba nawet takiego nie miała. A to był dom
jednorodzinny. Taki z
ogródkiem, fontanną i garażem. Jeden z tych, co się je na filmach
widuje i które
to
od razu potrafią rozpalić złodziejską wyobraźnię.
No i ten kwadrat rozpalił moją. Czułem grubszy szmal za tymi
murami, taki co to
na jakiś czas zapewniłby mi spokój gdzieś w Polsce. Ta chałupa na
elewacji miała
wypisane, że jest pełna bejcu i gotówki i że z utęsknieniem czeka
na jakiegoś
Alibabę, który się wpierdoli do tego Sezamu. Tego wieczora o
niczym innym już
nie myślałem, tylko o tej chacie.
Do rana postanowiłem, że obrobię tę chałupę. Moja złodziejska
wyobraźnia przez

całą noc wypełniała ten kwadrat pieniędzmi, tak że nad ranem było w nim już prawie tyle gotówki co w Narodowym Banku Polskim. Nic tylko wejść tam i wyładować sobie nią torbę. Proste jak pierdolenie. Wieczorem od razu tam pobiegłem i obszedłem tę chałupę z każdej strony, po złodziejsku już obstukując oczętami temat. Co prawda o obrabianiu kwadratów to ja za dużo nie wiedziałem, raz czy ze dwa we włamaniu do czegoś takiego brałem udział, ale nigdy nie wchodziłem do środka, jedynie stałem na obcince. Ale mniej więcej wiedziałem, jak do takiego domu dobrać się najlepiej. I gdzie, kiedy się już znajdę w środku, najlepiej szukać złota i gotówki. Okien to było w tej willi od cholery, ale wszystkie wychodziły na sąsiednie posesje. Żeby przez któreś z nich wejść, musiałbym wyjechać szybę, a to wiązało się z hałasem i w ogóle z dużym ryzykiem przypału. Najbardziej nęcące były drzwi. Takie zwyczajne, że aż wstyd, jakich pełno w każdym wielopiętrowym bloku, na zwyczajny fajansiarski zamek, co to go byle szczył w pół minuty brechą rozpierdoli. I tak sobie wykumałem, że to właśnie tymi drzwiami wyjdę, bo jakoś tak same się o to prosiły i bynajmniej z za płotu nie wydawały się problemem. Przez kilka następnych wieczorów na tych więc drzwiach koncentrowałem swoją uwagę. I jeszcze na zwyczajach tej bogatej hołoty, która tam mieszkała. A mieszkał tam facet z kobitą. Oboje w średnim wieku. W każdym razie tylko ich facjaty czasami widywałem w oknach. Co wieczór, przez kilka dni przychodziłem pod tą hacjendę już z brechą za pazuchą, żeby w każdej chwili być gotowym do roboty. Czekałem na okazję. Na to, żeby tego małżeństwa akurat w domu nie było. Ale oni, jak na złość, nigdzie wieczorami nie wychodzili. Tylko katowali telewizor do późna. Raz nawet poczekałem, żeby zobaczyć, o której to męczą im się oczęta i tak mnie pod tym kwadratem trzecia w nocy zastała. Dopiero po czterech dniach tych podchodów, przyłaząc tam zastałem pogaszone

światła. Mówię ci młody, micha mi się roześmiała od ucha do ucha,
a przez wysoki
płot, co ten dom otaczał, przeleciałem jakbym miał skrzydełka. Z
drzwiami, tak
jak
się spodziewałem, nie było żadnego problemu, fajansiarskie
wykonanie, nie
spisali
się ani stolarz, ani ślusarz, który wstawił w te drzwi ten niby-
zamek, co to się
tylko
do zamykania kurników nadawał. Po sforsowaniu tego szmelcu wpadłem
do
pierwszego lepszego pokoju. Przyświecałem sobie latarką, typową
złodziejówką,
małą, poręczną. Na chybcika objechałem tym światelkiem cały pokój,
taki prawie
salon, pełen drogich mebli poobijanych w skórę z rzeźbionymi
poręczami i
wypatrzyłem w kącie stylowy segmencik, pełen kryształów i
porcelany za szybą i
szuflad i szufladek, których chyba ze dwadzieścia było. I właśnie
na dobry
wieczór
do tych szuflad się dobrałem. I popatrz młody, jakiego miałem
nosa. Gotówkę już
znalazłem w drugiej szufladzie, zwitek banknotów spiętych gumką,
samyh baniek
gdzieś tak z pięćdziesiąt na oko. A w szufladzie na samym dole
znalazłem
jubilerskie fanty. Drobnicę. Dwa pierścionki i kolczyki. Ale
zawsze coś. I już
się
miałem właśnie zabrać do pozostałych mebelków, kiedy to nagle
światło rozjaśniło
cały pokój. Obracam się i patrzę, a tu facet przeciera ze
zdziwienia oczy. Z
pięć
sekund spoglądaliśmy na siebie jak jacyś niedorozwinięci. Ja z
rozdziawioną z
zaskoczenia gębą, a on próbując rozproszyć ten zły sen, którym mu
się zapewne
wydawałem. W końcu jednak zaskoczył, że ja w jego salonie to nie
jest żaden zły
sen, bo wydarł ryja. Żeby spierdolić, musiałem przebiec przez
drzwi, w których
on
stał. A jebaniec był szeroki w plecach. Dużo szerszy ode mnie. Gdy
więc
próbowałem przebiec obok niego i dać dyla w luft, jak tygrys
rzucił się na nie.

Może i był silny, ale o biciu to on nie miał żadnego pojęcia.
Walczyć nie umiał,
szarpać się tylko potrafił. Chwilę mocowaliśmy się jak dwaj
zapaśnicy. Ścisnął
mnie tak, że aż mi dech zaparło. Był ode mnie znacznie cięższy i
wyglądało na
to,
że na dłuższą metę, tą walkę sumo ze mną wygra, zwłaszcza że do
pokoju wpadła
z krzykiem jego żona, w samej tylko koszuli nocnej, takiej
przezroczystej, przez
którą nie tylko było widać jej cycki, ale i piździsko i zaczęła
mnie szarpać za
włosy. Suka jebana chyba wyrwała ze dwie garście z mojej i tak
niezbyt gęstej
czupryny. To mnie naprawdę wkurwiło. Zawsze nerwus byłem. Nawet
nie wiem
kiedy wytargałem z za pazuchy tą brechę, którą drzwi rozprułem i
zdzieliłem nią
oboje po głowach. Tą roznegliżowaną bladź zajebałem chyba od razu,
facetowi
musiałem poprawić brechę drugi raz, bo po pierwszym razie tylko
upadł na kolana,
obejmując mnie łapskami w pasie, jakby właśnie chciał pociągnąć mi
druta.
Niucha zalewała mu całą gębę. Odepchnąłem go więc kolanem, aby
mnie krwią
nie ujebał. Wkurwiony tym wszystkim byłem, tym że im się tak nagle
spać
wcześnie pójść zachciało i jak mu ten drugi raz jebnąłem, to z
taką siłą, że mu
chyba czaszka na pół pękła. W każdym razie tak mu jakoś głośno we
łbie
strzeliło.
Potem kiedy już o tym gazety pisały, to chyba najwięcej o tym
dzieciaku. Miał
pięć lat. Naciąłem się na niego, kiedy już z tego kwadrata
wychodziłem. Schodził
schodami z piętra, jeszcze nie do końca rozbudzony, przecierając
oczka. Wołał
matkę. Wcale się nie przestraszył, gdy mnie zobaczył. Uśmiechnąłem
się do niego.
Mimo że był taki mały, rozumek już patrzył mu z oczek,
wpatrujących się we mnie
pytająco. Chwilę się wahałem, ale w końcu i na niego użyłem
brechy. Był już na
tyle duży, że bez problemu opisałyby mnie gliniarzom. No co mnie
tak, młody,
zagadkowo obcinasz? Takie małe dzieci są podobno niezwykle bystre.
Mówili tak

kiedyś w telewizji. A pamięć do twarzy to nawet mają lepszą od dorosłych.

No tak...

Po tej mokrej robocie już nawet nie wróciłem do mojego owdowiałego kocmołucha. Ulicę dalej był postój taksówek. Wypierdoliłem w krzaki brechę i

wsiadłem do jednej. Kazałem zawieść się na dworzec. Gdyby ten złotótkarz był

bystrzejszy, to po jednym rzucie oka na moją gębę połapałby się kogo wiezie.

Miałem twarz mordercy. A przynajmniej kogoś, kto właśnie spierdala przed

sprawiedliwością. Ale, na swoje jebane szczęście, nie był bystry.

Grzecznie

zawiózł mnie na dworzec, nie zadając ani jednego głupiego pytania.

Jeszcze tej nocy wyjechałem z miasta. Strach dodał mi skrzydeł.

Odleciałem tak

jak stałem. W jednych spodniach, marynarce. Nawet nie wiedziałem, dokąd jedzie

ten pośpieszny, do którego wsiadłem.

Nie myślałem o tym, co zrobiłem, jadąc tym pociągiem. Coś tam, co od biedy

można byłoby może i nazwać poczuciem winy, chodziło mi po głowie, ale tylko

przez krótki czas, potem to już się tylko zająłem przeliczaniem szmalu. A było

tego co kot napłakał. Jestem pewien, że było go w tej chałupie znacznie więcej,

ale

rzeźnicka robota pokrzyżowała mi wszystkie plany. Nie miałem już po niej chęci

dalej kipiszować chaty. Zresztą jakiś sąsiad mógł przecież coś usłyszeć i w

każdej

chwili mogło się tam zaroić od mętowni.

W sumie sześćdziesiąt baniek z tego domu wyniosłem. Nie licząc tego bejcu, który

to chyba tylko koło złota leżał, bo mi w tym przedziałowym światełku jakoś na

prawdziwy wyrób jubilerski nie wyglądał.

Pociąg zawiózł mnie do Gdańska. Świtało akurat, gdy wtaczał się na pusty peron.

Powinienem wtedy wyginać z tego dworca, od razu po zatrzymaniu pociągu, ale

mi się, kurwa, z tego wszystkiego jeść i pić zachciało. Był tam taki dworcowy

bar,

który to przez całą noc szeroko otwartymi drzwiami każdego podróżnego do siebie

zapraszał, ciepły i przytulny. Podjadłem tam sobie całkiem porządnie, płacąc za

to
wszystko bańką z tej skubniętej kasy. I z napchanym kałdunem
zacząłem potem,
chuj wie po co, łązić po tym dworcu. Było wcześniej rano, a ja nie
miałem żadnych
pomysłów, co też robić dalej. Tak sobie więc pomyślałem, że trochę
pokręcę się
po
tych holach i peronach i dopiero kiedy na dobre się rozwidni,
pójdę w miasto
poszukać jakiejś mety. I chyba tak po godzinie tego łożenia
poczułem na plecach
czyjś wzrok. Nie musiałem się odwracać, żeby wiedzieć, że psi,
akurat na takie
spojrzenia byłem uczulony. To byli dworcowi gliniarze, bo na
wielkomięjskich
dworcach oprócz sokistów mają i policję. Kątem oka ujrzałem, jak
zbliżają się do
mnie. Dwóch rosłych, dorodnych krawężników, o mało inteligentnych
spojrzeniach, padających z tych ich równie jak moja bandyckich
mord. I właśnie
wtedy zrobiłem błąd, młody, duży błąd. Największy w moim życiu.
Otóż, gdy
zaczęli się do mnie zbliżać, ja zacząłem odchodzić, w końcu nerwy
puściły mi
całkowicie i wyrwałem z kapcia. A oni od razu w pogoń za mną drac
ryje. Stać!
Stać! Zatrzymać się! Zatrzymać się! Echo niosło te ich szczekania
po całym
dworcu. Dobrze wtedy biegałem i pewnie chuja by mnie złapali,
gdyby nie padł
strzał. I to nawet nie ostrzegawczy. Jeden z tych państwowych
parobków od razu
wymierzył mi w nogi. Kula rozerwała mi łydkę, zaskowyczałem z
ból. Kawalek
dzielnie jeszcze próbowałem im spierdalać, skacząc na jednej
nodze, ale
gliniarze
już bez problemu dopadli mnie i powalili na glebę. Skuli mi na
plecach łapy i
choć nie stawiałem oporu, zaczęli napierdalać. Skopali mi nery,
żebra, nawet
sflekowali ryja. Dopiero gdy się na mnie wyżyli, wezwali przez
szczekaczkę
karetkę.
Mój urzędowy adwokat potem na sprawie najeżdżał na jednego z tych
głupków, że
użył pukawki niezgodnie z przepisami, ale ten temat, jak i całą
sprawę przegrał
z

kretesem. Świadkowie słyszeli dwa strzały. Ten drugi gliniarz, kasjerka z kasy biletowej i jakiś zeszmelcowany bezdomny, który podobno spał wtedy gdzieś tam w poczekalni, przykryty gazetami, nawet w sądzie wyglądający tak, jakby go właśnie wyciągnęli ze śmietnika. Jak ktoś, kto za jabola powie wszystko, co mu się karze, a nawet pocałuje cię za niego w obsraną dupę. I tak mnie, młody, capnęli. Na jebanym dworcu. A potem to już po nitce do kłębka. Z udowodnieniem mi tego kwadrata nie mieli żadnego problemu. W kieszeniach miałem przecież gotówkę z niego i ten fajansiarski bejc, który to potem siostra tego zabitego kurwiszona rozpoznała jako własność zmarłej. A wszystko przez to, że zacząłem spierdalać gliniarzom, którzy chcieli mnie tylko rutynowo wylegitymować. Głupia wpadka. Być może ta chwila cykorii pozbawiła mnie jeszcze długiego życia na wolności. Kto wie. Gliniarze, nawet ci z gwiazdkami, nie są za bardzo rozgarnięci i nie raz szukają zabójców latami, choć ci mieszkają sobie ze dwa kroki od policyjnej komendy. Za tą trójkę z kwadrata dostałem dożywocie, bo kary śmierci już nie dawali. Miałem szczęście. W ostatniej chwili załapałem się na to całe moratorium, a na sam koniec procesu na zmianę kodeksu. Musiało to nieźle wkurwić tych ludzi przed sądem, którzy w każdym dniu procesu pikietowali, żebym zadyndał na stryczku. Najzabawniejsze było, che, to, że ani razu podczas śledztwa nie zapytali mnie o tego trupa z parku. Tylko bez przerwy tą willę ze mną wałkowano, a dlaczego, a za co, ani słowem o tym tłuściochu ze skwera. A przecież wszystko zaczęło się właśnie od niego. Gdyby nie ta spartaczona dziesiona, to nigdy nie zawitałbym do tego kwadrata, na tej prawie wiosce. Gliniarze ani razu nie próbowali mnie nawet połączyć z tą sprawą. Pewnie do dzisiaj nie wiedzą, kto wyprawił do Bozi tego emeryta. Jeszcze przed sprawą wzięli mnie do wariatkowa. Ta cała szopka z badaniem mego

zdrowia psychicznego trwała prawie dwa miesiące. Przez pierwsze dwa tygodnie, jak tylko mogłem najlepiej paliłem głupa, opowiadając tym wszystkim lekarzom, że słyszę rozmaite diabelskie głosy i że to właśnie one zmusiły mnie do zabicia tej rodziny. Staralem się jak mogłem rżnąć kretyna, ale oni chyba nie bardzo mi wierzyli. To byli zawodowcy, grzebali już w głowie nie jednemu przestępcy. Te głodne kawałki, które im sprzedawałem, jakoś nie za bardzo trafiały im do przekonania. W końcu sam przestałem już wierzyć, że uda mi się ich oszukać i że uznają mnie za świra. Zresztą przez ten czas dokładnie przeanalizowałem swoją sytuację. Za ten mord, nawet z żółtymi papierami, siedziałbym w zamknięciu do końca życia. W tym lub innym głupiejowie. Wśród tych wszystkich czubków udających psy, gęsi, kuropatwy i papieży. Wolałem więzienie. Tu przynajmniej jestem wśród swoich. Wiem czego po kim się spodziewać. Zresztą, jak sam wiesz, nieźle się tu ustawiłem. Nawet stare zgredy boją się mnie jak diabeł święconej wody. A cwele nastawiają dziury, gdy tylko pstryknę palcami. Nie, młody, żaden z tych zabitych mi się nie śni. Sypiam bez problemów. Nie dręczy mnie sumienie. Może ze dwa razy o tym myślałem. I to tylko wtedy, kiedy ci lekarze w wariatkowie gnębili mnie tymi wszystkimi pytaniami. Bo wszyscy myślą, że zabijanie wymaga jakichś specjalnych predyspozycji, podatnego na zło charakteru, tego czegoś mrocznego, co nie w każdym tkwi człowieku. I że jest trudne. I że potem duchy zamordowanych żyć ci nie dają. Che. Bzdury. Zabija się tak łatwo. Prawie tak, jak łatwo się pluje. Zabić może każdy. Menel i profesor nauk humanistycznych. Na to nie ma reguły. Tylko potem już wszystko zależy od tego jaki jesteś. Miękki czy twardy. Ja akurat bez problemu poradziłem sobie z tym wszystkim. Bo ja chyba nie mam sumienia. Nikt go nigdy nie ukształtował. No bo niby kto miał to zrobić? Dom dziecka? Te wszystkie stare kurwy, które tam

pracowały, nie mające serca do tej roboty? To rola matki i ojca.
Ich miłości.

Jeśli

ktoś cię kocha w dzieciństwie, dba o ciebie, to jesteś potem
lepszym
człowiekiem.

A jeśli nawet i tak wybierzesz niewłaściwą w życiu drogę, masz
przynajmniej
sumienie jak należy. Myślisz, że nie chciałbym płakać po nocach?
Żałować tego,

co zrobiłem? Chciałbym. Wtedy przynajmniej wiedziałbym, że jestem
człowiekiem. A tak... A tak opowiadam ci teraz to wszystko jakby
to była

historia

kogoś innego.

Był po tej sprawie u mnie nawet ten z telewizji, wiesz, ten
brodacz, który

prowadzi

program kryminalny w czwartki na drugim. Postawił mnie przed
kamerą, podsunął

pod nos mikrofon i kazał się spowiadać. Co czułem, gdy zabijałem
tą rodzinę i co

czuję teraz mając świadomość, że już do końca życia będę patrzył
na świat przez

kratę. No to przed tymi kamerami walnąłem całkowitą skruchę i
chyba nawet jakaś

łezka uszła mi z oka. To tak, dla tych ogłupiałych telewidzów,
żeby sobie

myśleli,

że na tym pojebanym świecie nie jest wcale tak źle i że nawet
wielokrotni

mordercy mają jakieś uczucia. Chłopaki z oddziału, oglądając to
potem w

telewizji, mieli ubaw po same pachy, kiedy to na ekranie
przekonywałem

społeczeństwo, że to potrójne morderstwo to była tylko chwila
słabości i że tak

naprawdę to ze mnie jest bardzo dobry i porządny człowiek. Pewnie
gdybym był

aktorem, dano by mi za tę rolę Oscara. Jednogłośnie. Jak jakiemuś
jebanemu

Stallone. Che, che, che...

Kto wie, młody, co by ze mnie wyrosło, gdybym miał normalne
dzieciństwo. Ale

mnie wychowało państwo w domu dziecka i jabolę na ulicach. A sam
widzisz, że

to chujowe wychowanie. Nieraz tak sobie myślę, że chyba dobrze
zrobiłem,

rozbijając na tym kwadracie głowę i temu dzieciakowi. Gdybym go
oszczędził

trafiłby pewnie do takiego państwowego domu, jak nic wyrósłby tam
na bandziora
i potem biegałby taki z bejsbolem po parkach i ciemnych zaułkach.
A tak
oszczędziłem mu przynajmniej złego losu.
Ot i cała moja historia. Mam nadzieję, młody, że zapisałeś
wszystko, jota w
jotę,
tak jak nawijałem.

W DŁONIACH KRZYK CHOWAM-POSŁOWIE

Najprzyjemniejsze są noce, chociaż wleką się w nieskończoność, jak
żałobne

orszaki odprowadzające na cmentarz
przeszłość. Tu tylko przeszłość jest ważna, przyszłość prawie nie
istnieje. W

każdym razie nie ma znaczenia. Jest
białą plamą, której się nie wypełnia żadnymi planami ani
marzeniami. Tu się nie
marzy, bo to niszczy spokój ducha,
zabija jego hart.

Do przeszłości wraca tutaj każdy. Jest jedynym kapitałem, który
się tu wnosi i

którego klawisze nie zabierają ci na
wejściówce. Opowieści snute tutaj każdego dnia i wieczora
przywołują z otchłani
pamięci dziewczyny i żony,

kobiety, które się miało lub chciało mieć, miasta i ulice, cały
ten świat, z

którego każdy z więźniów został wyrwany.

Czasami rozpamiętuje się ból sprawiany przez policjantów na
przesłuchaniach.

Czasami strach, który się wtedy

czuło. Czasami odwagę, którą się miało uparcie, nie przyznając się
do, bez

problemu udowadnianej, winy. Każdego

dnia w czterech ścianach stęchłych, dusznych, klaustrofobicznych
cel rozlegają

się twarde głosy policjantów,

naśladowane nieudolnie przez zachrypnięte gardła więźniów,

wzywające do wyjścia

z podniesionymi rękami ze

sklepów i kiosków, w których truchleli ze strachu właśnie snujący
te opowieści,

złapani kiedyś na gorącym

uczynku. Co wieczór rzesze prokuratorów i adwokatów toczą ze sobą
słowne bitwy i

niezliczeni sędziowie wydają

zawsze niesprawiedliwe wyroki. A wszystko to dzieje się w oparach
wypijanego

gorącego czaju, który jak nic tutaj

sprzyja wspomnieniom. Jednak ani razu nie wspomina się łez, które wylewało się czekając w mrocznych celach komisariatów na to, co będzie. To nie jest w dobrym guście. Tu nikt przy zdrowych zmysłach nie okazuje słabości ani o niej nie mówi. Tu nie ma miejsca dla słabych. Tutaj łzy są zarezerwowane tylko dla gwałconych przez współwięźniów.

Ale rozpacz istnieje. Jest zakamufLOWANA pod maskami obojętności i niewzruszenia. Istnieje w głębokiej konspiracji. Jest bowiem zakazaną formą wyrażania uczuć. Nawet śmierć kogoś bliskiego tutaj nie upoważnia jej do głosu. Może zaistnieć jedynie w bardzo sprzyjających warunkach. A takie przynoszą noc.

To najczęściej czas między północą a brzaskiem. To cisza, która wtedy trwa,

macona jedynie odgłosami śpiących.

Wtedy można wyrzucać z siebie żale.

Tak właśnie robię. Zmieniam się nocami, na powrót przechodząc metamorfozę ze

zwierzęcia w człowieka. Dobrze

się czuję w jego skórze. Nie jest mi wcale obca jego dobroć i współczucie, które

nosi w sercu. Jest w nim nawet

Bóg, o którym w dzień całkowicie zapominam. Czasami nawet się do niego modlę.

Własnymi słowami, bo modlitw

już nie pamiętam. Prawie zawsze przynosi mi to ukojenie. Uspokaja. Pociesza.

Daje siłę, która przydaje się kiedy

słońce rozprasza mrok i dyżurny klawisz ogłasza pobudkę. Wtedy na powrót ubieram

się w skórę wilka i szczerzę

kły do całego świata, gryząc i rozszarpując kiedy trzeba. To tutaj jedyny sposób

na przetrwanie do zmierzchu.

Czasami jednak moja rozpacz sięga zenitu i wtedy oczekuję nocy jak nigdy.

Skumulowana we wszystkich

komórkach mego ciała wybuchą wtedy z ogromną siłą, niczym wulkan, wyrzucając ze

mnie wszystkie smutki. Ale

mimo tego nie zapominam o zasadach. O prawach. O tym wszystkim, dzięki czemu

udaje mi się żyć tu już tyle

czasu. Moja rozpacz jak i dusza nie ma więc głosu. Istnieje w ciszy, w ledwie

słyszalnym szmerze. W dłoniach
krzyk chowam. Łkam w poduszkę. Nakryty szczelnie kocem,
zamykającym mnie w
świecie, którego się nie boję.